Księża chcą się żenić STR. 12,11

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 14 (860) 13 lipca 1986 Cena 15 zł

Fot. Mieczysław Targoński

Lipiec 1954

STR. 3,11

NA LATO

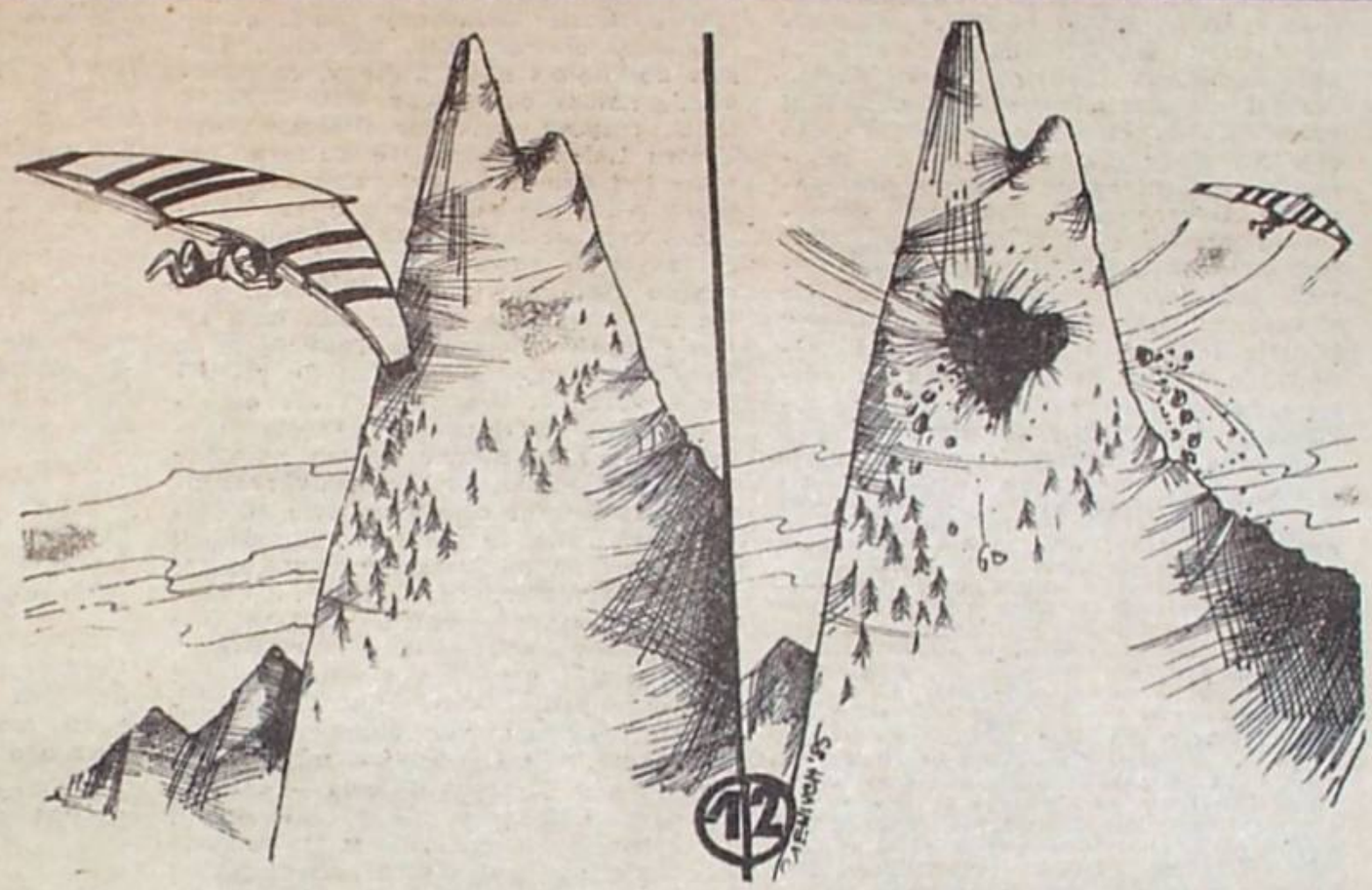

Rys. Zbigniew Cieniuch

Rys. Szczepan Sadurski

Rys. Adam Lep

Centrum TV w Piaskach

STR. 5

HUMOR

Rys. Antoni Chodorowski

Unia Lubelska

STR. 9

Powrót Nalepy

STR. 10

z notatnika

X Zjazd PZPR

BYŁ to zjazd najbardziej otwarty ze wszystkich dotychczasowych dziesięciu zjazdów PZPR, łącznie z IX Nadzwyczajnym. Mogliśmy w nim uczestniczyć dosłownie wszyscy, słuchając na bieżąco transmisji w czwartym programie Polskiego Radia, a przedtem mając możność wypowiedzenia się na temat Tez i projektu Programu.

Nie było na zjeździe żadnego ugładzania, filtrowania przepływu informacji.

Niekiedy delegaci, znalazłszy się na trybunie, rezygnowali z odczytania uprzednio przygotowanego tekstu, mówili może bardziej chropowato, ale i bardziej spontanicznie, z większym zaangażowaniem emocjonalnym, jak chociażby BARBARA KEUPA-WOJCIECHOWSKA, rektor Akademii Medycznej w Gdańsku. Stwierdziła ona m.in.: „Nie możemy kierować się w takich delikatnych sprawach, jak nauka, doraźnymi względami politycznymi. Tego robić po prostu nie wolno. Np. jeśli to właśnie ja wygrałam wybory na rektora, to czy oznacza to, że jestem bardziej niż inna akceptowana przez środowisko? Powód jest inny. Po prostu w służbie zdrowia dzieje się tak źle, że każdego by wybrali, by mógł coś załatwić!"

X Zjazd obfitował w wiele akcentów krytycznych. Delegaci — a ton dyskusji nadał przecież referat KC PZPR, wygłoszony przez WOJCIECHA JARUZELSKIEGO — wyszli z założenia, że nie czas i miejsce na wyliczanie sukcesów, ale należy skupić się na ujawnianiu i przezwyciężaniu zjawisk ujemnych, nie rozwiązanych problemów, głównie ekonomicznych, choć nie tylko, jako że one decydują o jakości życia wszystkich obywateli. Na cenzurowanym znalazły się stosunki na linii władza-obywatel. „Liczna rzesza pracowników administracji — powiedział ALFRED MIODOWICZ, przewodniczący OPZZ — zapomniała naukę minionego okresu. Jej arogancja odradza się gwałtownie". A BOGUMIŁ MORACZEWSKI, ślusarz-spawacz z Zakładów Celulozowo - Papierniczych we Włocławku, stwierdził m.in.: „W ludziach nazbierało się sporo goryczy, wynikłej z nieprzestrzegania w naszym ustroju zasady sprawiedliwości społecznej. Powinnością partii jest wyeliminowanie z naszego życia takich pojęć jak klika, kumoterstwo, bumelanctwo, pasożytnictwo, arogancja. Nie są one nowe. Walczymy z tym od lat i nie możemy się uporać. Czy nie wynika to czasem z braku konsekwencji w działaniu partii i administracji różnych szczebli? Z ludźmi przynoszącymi swoją działalnością więcej szkody niż pożytku, lub wręcz wrogimi, należy rozliczać się zdecydowanie i konsekwentnie".

Wymagania wobec władzy, ale i wobec siebie. „Czasem — oświadczył ZBIGNIEW HANF, górnik — nachodzi mnie gorzka refleksja — kiedyś praca i uczciwe życie były cenione. Dziś praca jest często chora. [...] Jak uzdrowić pracę? Jak pozbyć się cwaniactwa, bylejakości, fuszerki, jak pobudzić zmysł oszczędzania nie tylko w domu, ale w zakładzie pracy? [...] Jestem robotnikiem, robotnikiem był mój ojciec i mój dziadek. Wiem, że szacunku do roboty człowiek uczy się nie tylko w zakładzie, ale już od dziecka wynosi go z domu, a ze szkoły też powinien. Nie znaczy to jednak, że zakład pracy nic w tym względzie nie może zrobić. Może i to nie wyłącznie poprzez stosowanie bodźców finansowych. Glebą, na której wyrasta dobra robota, jest kultura pracy. Socjalistyczna jest fabryka, w której nie ma sprzeczności między ideą samorządności, a reformą gospodarczą, w której włącza się nie tylko ceny i płace, ale myśli się także, w jakich warunkach robotnik mieszka, w jakich uczą się jego dzieci, pamięta się, żeby nie mókł na deszczu na przystanku pod fabryką. Jeśli zatem mówimy o pracy, o wychowaniu w pracy, to musimy pamiętać o trzech nierozdzielnych w warunkach naszego ustroju elementach: organizacji, która sprawia, że człowiek może pracować efektywnie; samorządności, dzięki której czuje się gospodarzem zakładu, miasta, osiedla i o świadomości socjalistycznej, która nie pozwoli zapomnieć, jaki jest sens i cel tej pracy". Krótko, a jakże wymownie!

Pragnę tu jeszcze zacytować stwierdzenie JANA PAWLACZYKA, starszego mistrza w Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego „Bistola" w Łodzi: „Jest takie powiedzenie: jaki pan, taki kram. Każdy człowiek, a dotyczy to również sfery pracy zawodowej, świadomie bądź nie, szuka wzorca postępowania. Dobrze, jeżeli jest nim bezpośredni przełożony. Dobrze, jeżeli jest nim członek partii. Rzeczywistość potrafi jednak być czasem brutalna. Nie zawsze na linii podwładny-przełożony istnieje taka sytuacja. Musimy zdecydowanie mówić, że każdy, kto nie szanuje pracy, sam pozbawia się jednoznacznie prawa do szacunku".

Z głosem Jana Pawlaczyka niejako koresponduje wypowiedź innego mistrza, MARIANA TRUSZKOWSKIEGO, ze Stoczni Gdańskiej im. Lenina: „Istotą reformy jest świadomy udział w zarządzaniu. Robotnik ocenia reformę przez pryzmat swojej codziennej pracy. Ten robotnik często pyta nas: dlaczego wywieszacie hasła o reformie, skoro ja od trzydziestu lat pracuję tym samym młotkiem, klinem i kablem spawalniczym? Czy ktoś rozlicza naukowców z efektów wdrożeniowych w dobie reformy? Dlatego też pytam się w imieniu tego robotnika: jak długo jeszcze ten stan będzie tolerowany, jak długo problemy produkcyjne będą rozwiązywane po kilkakrotnym odwiedzeniu ministerstwa i czy reforma ma związek z postępem technicznym? Program PZPR powinien stać się podstawowym źródłem edukacji politycznej. Ważnym czynnikiem jest jawność życia społeczno-politycznego, umożliwiająca kontrolę zgodności słów z czynami, a także właściwe funkcjonowanie krytyki. A z jej przestrzeganiem im niżej, tym gorzej..."

Jawność życia społeczno - politycznego... Jest to również, a może przede wszystkim, zadanie dla środków masowego przekazu, o czym mówił na zjeździe NORBERT KRAWCZYK, kierownik Redakcji Informacji w rozgłośni Polskiego Radia w Bydgoszczy: „Czy rzeczywiście udaje nam się przekonać większość społeczeństwa do zaakceptowania programu partii? Odnoszę często wrażenie, że zarówno w prasie, radiu, jak i w telewizji staramy się przekonać już przekonanych. A przecież jest znaczny odłam Polaków nie włączający się w nurt życia społeczno-politycznego, do których przede wszystkim powinniśmy kierować nasze perswazyjne metody. W zbyt małym stopniu przedstawiamy również racje odmienne od naszych, ale wcale nie wrogie socjalizmowi. [...] Musimy samokrytycznie spojrzeć na własną działalność — zła jest informacja, szczególnie w telewizji i w prasie. Dziennik Telewizyjny rzeczywiście powinien oddawać oficjalną politykę, ale to wcale nie oznacza, że musi on być redagowany w amatorski sposób. [...] Nie najlepiej — szczególnie w prasie — przedstawia się informacja z różnego rodzaju narad oraz tzw. nasiadówek i oficjałek. Momentami odnosi się wrażenie, że Polska jest krajem wiecznie naradzającym się i dyskutującym na różnych sympozjach oraz spotkaniach. Obecny model propagandy nie przystaje do oczekiwań społeczeństwa i nie jest na miarę roku 1986. [...]. Niepokoi również komercjalne traktowanie niektórych środków masowego przekazu. Obecnie, gdy reforma gospodarcza zawitała również do prasy, radia i telewizji, trzeba także osiągać dobre wyniki ekonomiczne. Nie może to jednak przesłaniać podstawowych zasad programowych i redakcyjnych. Chodzi o utrzymanie rozsądnych proporcji pomiędzy zadaniami propagandowymi a zyskiem".

O, ten temat można by rozwijać w nieskończoność, każde pismo ma tu własne doświadczenia, a konkurencja na rynku ogromna, toteż i każda metoda, każdy tzw. zagryw jest dobry, o ile zjednuje pismu czytelników.

W dyskusji plenarnej dominowały problemy ekonomiczne, ale kilka głosów dotknęło i sfery kultury, co szczególnie należy odnotować. KRZYSZTOF RAU, reżyser, dyrektor Białostockiego Teatru Lalek wskazał, że kultura nie może być dziedziną wyłączoną z całości pracy partyjnej, administracyjnej i gospodarczej. „Jeśli wspólnie nie uda nam się zagospodarować własnego wewnętrznego życia nowymi wartościami, nową filozofią życia, to nie uda nam się wiele spraw zaliczanych tradycyjnie do bazy życia społecznego. [...] Po referacie towarzysza premiera mówić o inwestycjach dla kultury to zgoła nietakt. Ale nie mówić o nich nam w partii nie wolno. Jeśli chcemy realizować strategiczne cele ustrojowe, to musimy wiedzieć, że nie są to inwestycje mniej ważne od inwestycji w sferze produkcji materialnej. Bez nich nie zmienimy sytuacji polskiej książki, nie rozwiążemy problemu dekapitalizacji budynków i urządzeń wielu instytucji artystycznych. [...] Ale najbardziej inwestycji kulturowych wymaga polska prowincja. Szczególnie — mimo niewątpliwego dorobku 40-lecia — cała na wschód od Wisły położona część naszej Ojczyzny, gdzie braki i w tej dziedzinie stają się dziś nieprzezwyciężalną barierą dalszego rozwoju tych ziem. Jeśli spojrzymy na terytorialną zasobność w instytucje kultury i nauki ziem polskich leżących na wschód od Wisły, to stwierdzimy, że z ponad 120 polskich teatrów ma tu swoje siedziby zaledwie 10, że nie znajdziemy tu żadnego ośrodka telewizyjnego, zaś z 17 wyższych uczelni artystycznych działają tu zaledwie wydziały zamiejscowe dwóch warszawskich szkół..."

Święte, pardon, partyjne słowa! Dodałbym coś jeszcze i o bazie poligraficznej. Od kilku lat wałkuje się sprawa przekształcenia „Kameny" w tygodnik. Ciągle ponoć brak mocy przerobowej, ale, jak trzeba, lubelska drukarnia może nawet codziennie wydawać dziennik o objętości ośmiu stron, czyli szesnastu stron kamenowych! Nikt mnie już dzisiaj nie przekona, że obiektywne względy uniemożliwiają wydawanie w Lublinie tygodnika społeczno-kulturalnego. Odnoszę wrażenie, że zależy na tym jedynie naszej redakcji... Gorzko? Gorzko, ale w duchu ostrej dyskusji na X Zjeździe!

Krytycznie o kulturze, a raczej o potrzebie jej krzewienia, mówił też na zjeździe ANDRZEJ KRASICKI, aktor Teatru Narodowego w Warszawie. Przypomniał, że 40 proc. Polaków w ogóle nie czyta książek, a w ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba widzów teatralnych spadła o 36 proc., a kinowych o 40 proc. „Do zawężenia kręgu zainteresowanych sztuką sami przyczyniamy się od lat razem z krytyką artystyczną. Wszechawangardyzmem, często nieautentycznym szokowaniem formą. Młodzi robotnicy, inteligenci twierdzą, że zraża ich powierzchowność książek, pesymizm przedstawień i filmów, brak ciekawych tabuli, optymistycznego przesłania budzącego nadzieję na lepsze."

Sygnalizuję pewne sprawy, poruszone w dyskusji na zjeździe wychodząc z założenia, że czytelnik zapoznał się z referatem KC PZPR wygłoszonym przez Wojciecha Jaruzelskiego. Rację ma MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI, który oświadczył, że w istocie rzeczy nie był to referat, lecz rozmowa z partią, z całym społeczeństwem o konieczności przejścia do drugiego etapu wcielania w życie głównych założeń programu odnowy socjalistycznej. Do głównych tez tego referatu będziemy zresztą wracać na łamach „Kameny", bo poruszone w nim problemy są niezwykle ważne i na dziś i na jutro.

Znamienne, że w obradach X Zjazdu uczestniczyło 107 delegacji zagranicznych, wśród nich delegacja KPZR pod przewodnictwem MICHAIŁA GORBACZOWA, który wygłosił bardzo ważkie przemówienie. Z trybuny zjazdu padły słowa o konieczności stałej odnowy socjalizmu. Sekretarz generalny KC KPZR wyraził zrozumienie dla dokonanej przez naszą partię analizy źródeł kryzysu w Polsce z początkiem lat osiemdziesiątych, co jest faktem o ważnym znaczeniu nie tylko teoretycznym. Michaił Gorbaczow wsparł swoim autorytetem to, co dokonała nasza partia w ostatnich latach, co ma bezwzględnie znaczenie wybiegające poza nasz kraj. Po okresie wstrząsów Polska odzyskała należne jej miejsce we wspólnocie państw socjalistycznych.

Na zakończenie trzeba wspomnieć, że delegaci uchwalili Program PZPR, przyjęli Uchwałę X Zjazdu oraz Deklarację w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie.

Nowo wybrany przez zjazd Komitet Centralny partii dokonał wyboru I sekretarza KC, członków Biura Politycznego, zastępców członków Biura Politycznego i sekretarzy KC.

I sekretarzem został wybrany WOJCIECH JARUZELSKI, który jest najstarszym członkiem Biura Politycznego (1923 r.). Natomiast najmłodszym członkiem Biura został (ur. w 1952 r.) ZYGMUNT MURAŃSKI, nadsztygar z Kopalni Węgla Kamiennego „Rydułtowy". Średni wiek członka najwyższych władz partyjnych wynosi 54 lata. Czterech członków ma najwyższe odznaczenie — order „Budowniczych Polski Ludowej", a czterech nie ma żadnych odznaczeń państwowych. Żartobliwie dodam, że we władzach jest po dwóch Stanisławów, Zbigniewów, Kazimierzy, Józefów i Marianów, inne imiona już się nie powtarzają...

W składzie Komitetu Centralnego lubelską organizację partyjną reprezentują: prof. dr hab. ZDZISŁAW CACKOWSKI, MARIAN MAREK, ANDRZEJ SZPRINGER i JÓZEF SMOLARZ, w składzie Centralnej Komisji Kontrolno - Rewizyjnej: STANISŁAWA GAWRYLUK, JANUSZ KUSY i ANDRZEJ STAWIARSKI. 4+3=7.

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

■ Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu obchodziło 40-lecie pracy wychowawczej i dydaktycznej. Zamojskie Liceum opuściło dotychczas prawie 1200 absolwentów. Obchody 40-lecia zbiegły się ze zjazdem absolwentów tej szkoły. Podczas uroczystości jubileuszowych szkole nadano imię Bernarda Morando, budowniczego renesansowego Zamościa.

■ 21 czerwca w lubelskim Teatrze Muzycznym odbyła się premiera musicalu dla dzieci Williama Thackeraya „Pierścień i róża" przygotowana przez Alexa Eckerta, reżysera i animatora sztuki dla dzieci ze Szwajcarii. Muzykę do tego spektaklu napisał Jacek Szczygieł, zaś oprawę plastyczną przygotowała Tatiana Kwiatkowska.

■ Od 25 do 30 czerwca w zaprzyjaźnionym Debreczynie odbywały się, wznowione po 12-letniej przerwie Dni Lublina.

■ W Przeworsku w województwie przemyskim odbywał się IV Międzywojewódzki Festiwal Kultury Szkolnej ZMW. Obecna tam była również delegacja województwa lubelskiego, składająca się z uczniów Zespołu Szkół Rolniczych w Kijanach. Zaprezentowany przez nich montaż poetycki „Z pola", w ramach teatru poezji, zajął I miejsce!

■ Prof. dr hab. Zygmunt Mańkowski, znany historyk, dyrektor Instytutu Historii UMCS, specjalista w dziedzinie historii najnowszej, członek kolegium redakcyjnego „Kameny", obchodził jubileusz 60-lecia urodzin i 35-lecia pracy naukowej w lubelskiej uczelni. Doceniając wkład profesora w badanie najnowszych dziejów historii narodowej, Egzekutywa KW PZPR przesłała mu list gratulacyjny. (Cały zespół „Kameny" życzy Zygmuntowi co najmniej 100 lat!).

■ 25 czerwca w siedzibie Rady Krajowej PRON odbyło się spotkanie grona działaczy, twórców kultury i nauki oraz społeczników z całego kraju, którzy niedawno wystąpili z inicjatywą utworzenia obywatelskiego patronatu nad odnową Starego Miasta w Zamościu. Przewodniczącym komitetu złożonego ze 115 osób wybrano Jana Dobraczyńskiego.

(w)

„Tygodnik Kaźmierczakowski"

W „SZTANDARZE LUDU" z 20 czerwca br. Franciszek Piątkowski znów zamieścił kilka krytycznych uwag pod adresem lubelskiej kultury, po raz któryś powołał się na pozytywny w tym względzie przykład Białegostoku (gdzie — dodam od siebie — przez pewien czas w latach siedemdziesiątych sprawował funkcję kierownika Wydziału Kultury UW) i — przy okazji — ni z gruszki ni z pietruszki uszczypnął „Kamenę" dając nam między wierszami radę, abyśmy się uczyli od „Tygodnika Zamojskiego" (w ciągu miesiąca „TZ" ma 64 strony, a „Kamena" 24, trzeba mieć rzeczywiście bardzo złą wolę, aby na to nie zwrócić uwagi, ale pal licho!).

Z dobrych wzorów staramy się korzystać, toteż wzięliśmy do ręki 27 numer tegoż tygodnika z dnia 4 lipca i zwróciliśmy uwagę, że: na 1 str. pod artykulikiem wstępnym widnieje nazwisko Waldemara Kaźmierczaka. Prawie całą 3 str. („Tydzień na Zamojszczyźnie") opracował Waldemar Kaźmierczak. Artykuł zamieszczony na str. 4 pt. „Zabytkom na ratunek" spłodził Waldemar Kaźmierczak. Na 6 str. (również całej!) Waldemar Kaźmierczak pisze o „Komputerowym tangu", a na 19 str. omawia Zamojskie Lato Teatralne. Pod zajmującym szpaltę na 3 str. zbiorem informacji z kraju też widnieją literki W.K. W sumie więc Waldemar Kaźmierczak sam jeden wypełnił z powodzeniem cztery strony „Tygodnika Zamojskiego"!

Podziwiam pracowitość autora, który unika pseudonimów i występuje z otwartym czołem. Niemniej pragnę skromnie zauważyć, że w stopce redakcyjnej „TZ" widnieje czternaście nazwisk. Gdy odliczę fotoreportera, redaktora technicznego i korektorkę, pozostaje jedenaście. Czyżby większość zespołu właśnie w czerwcu, kiedy przygotowywano 27 nr, wybrała się na urlop? Czyżby jakaś epidemia ogarnęła ul. Staszica? I ostatnie pytanie: czy Franciszek Piątkowski rzeczywiście czytuje „TZ"?

M. A. Jaw.

Zamek Lubelski, Podzamcze, Stare Miasto...

22 lipca 1954: to było przyspieszenie!

Marta Denys

ZBLIŻAŁA się 10 rocznica proklamowania Manifestu PKWN. Nie bez osobistej inicjatywy prezydenta Bolesława Bieruta miejscem centralnych uroczystości wybrany został Lublin. — To tutaj — perswadował swoim chełmskim oponentom Bierut — ostatecznie uformowane zostały centralne władze Polski Ludowej. I dlatego właśnie Lublin należy uważać za pierwszą stolicę wyzwolonego kraju. Nie pomniejszając oczywiście roli Chełma w dziele utworzenia PKWN i ogłoszenia Manifestu. Więc?

Dorzucając do tych lubelskich argumentów swój sentyment dla rodzinnego miasta i ludzi, Bierut z uporem, czego w oficjalnych dokumentach zapewne nie odnajdziemy, obstawał za Lublinem. I tak też się stało.

Uchwała Prezydium Rządu z 13 stycznia 1954 roku potwierdziła prezydenckie racje, przyznając Lublinowi zaszczytne, acz niełatwe, obowiązki gospodarza centralnych uroczystości, zasilając w środki, fachowców i robotników to ogromne, jak się rychło okazało, przedsięwzięcie.

„Złotym gwoździem" obchodów 10-lecia PKWN miała być Centralna Wystawa Rolnicza, obrazująca gospodarczy i przemysłowy dorobek Polski Ludowej, oraz defilada wojskowa i pochód licznej reprezentacji robotników, chłopów, aktywistów organizacji partyjnych, społecznych i związkowych, młodzieży, sportowców, zespołów ludowych itp. Należało więc znaleźć w Lublinie taki obiekt i teren, liczący co najmniej 10—12 hektarów, który pomieściłby pawilony wystawowe, poletka doświadczalne, park maszynowy, kiermasze, plac zebrań i estradę dla popisów artystycznych zespołów, a otoczyć to wszystko miała zieleń i kwiaty. Defilada zaś przebiegałaby trasą, co również było sugestią Bieruta, jaką do Lublina wkraczały w lipcu 1944 roku czołówki Wojska Polskiego i Armii Czerwonej.

Scenariuszowi temu najbardziej odpowiadał Zamek Lubelski i jego otoczenie, a trasę defilady wyznaczały ulice: Lubartowska i Nowa (dawniej Stalingradzka), Krakowskie Przedmieście, Aleje Racławickie, aż ku warszawskim rogatkom. Pasowało więc jak ulał. Ale nie ulał, bo w Zamku było jeszcze więzienie, a zabudowa miejska wzdłuż przewidywanej trasy pochodu nosiła aż nazbyt widoczne ślady prowincjonalnej biedy i zrujnowania. Podobnie, jak cały ówczesny Lublin. Przyznanie więc organizacji obchodów 10-lecia PKWN było nie tylko podniesieniem historycznej rangi miasta, ale i szansą na gospodarczą i społeczną jego aktywizację. Tym bardziej, że podstawy do gruntownych przeobrażeń miasta już istniały, chociażby w naukowej działalności UMCS, budowanej i uruchamianej FSC, powstających z wojennych zniszczeń zakładów przemysłowych Lublina. Brakowało jednakże miastu ożywczego impulsu i przyspieszenia. Okazją dla jednego i drugiego stały się jubileuszowe obchody. Aczkolwiek pomysły i decyzje odnośnie tych uroczystości kluły się jeszcze w 1953 roku, do konkretów przystąpiono zimą 1954 r.

A konkrety były następujące: adaptacja części Zamku Lubelskiego na tymczasowe pomieszczenia wystawowe, a po ukończeniu jego odbudowy — przekazanie całości dla Wojewódzkiego Domu Kultury i Muzeum Ziemi Lubelskiej. Włączenie w obręb muzeum kaplicy zamkowej z unikalnymi freskami, odsłoniętymi i udostępnionymi zwiedzającym już w czasie wystawy. Uporządkowanie wzgórza zamkowego, połączenie go groblą i wiaduktem ze Starym Miastem, a szerokimi schodami w dół — z przyszłym placem Zebrań Ludowych i Podzamczem. A skoro tak, to jak nie przeprowadzić było renowacji chociażby najcenniejszych — bo tylko na takie czas i środki pozwoliły — kamienic w Rynku i przy ulicy Grodzkiej, bram: Krakowskiej, Grodzkiej i Rybnej, albo uzupełnienia rażących „wyrw" przy ulicy Bramowej i Trybunalskiej? A Podzamcze? Bardziej zachowane po wojennym pogromie z nazwy niż zabudowy. Także i tu przewidziano ogromne zmiany: budowę i oddanie w stanie surowym osiedla mieszkaniowego, tak zwanego „lubelskiego Mariensztatu" zamykającego od Zachodu plac Zebrań Ludowych. A odcinki tras W—Z i N—S wzdłuż północnej i zachodniej skarpy Zamku, a przyszły Park Kultury i Wypoczynku, także u podnóża Zamku? W planach nie pominięto ani ulicy Kowalskiej, ani Lubartowskiej, ani Krakowskiego Przedmieścia i Hanki Sawickiej. Wzdłuż tych arterii przewidziano gruntowną modernizację całej sieci handlowej. Nie mówiąc już o elewacjach, oświetleniu, nawierzchni, zieleni i innych ważnych remontach i robotach komunalnych. Łącznie z remontem lubelskich hoteli — „Europy" i „Lublinianki", dworca kolejowego oraz uporządkowaniem Ogrodu Saskiego czy innych, nie wymienionych inwestycji.

Roboty było więc huk, i to taki huk, iż zagłuszyć mógł nadzieję, czy zostanie ona wykonana w oznaczonym terminie. Czasu było niewiele. Niespełna pięć miesięcy od daty rozpoczęcia robót do ich finału w dniu 15 lipca 1954 roku.

Gorączkę tych dni i miesięcy rejestrowały codzienne publikacje, notatki i zdjęcia w „Sztandarze Ludu". Wybierzmy niektóre z nich. Oto luty.

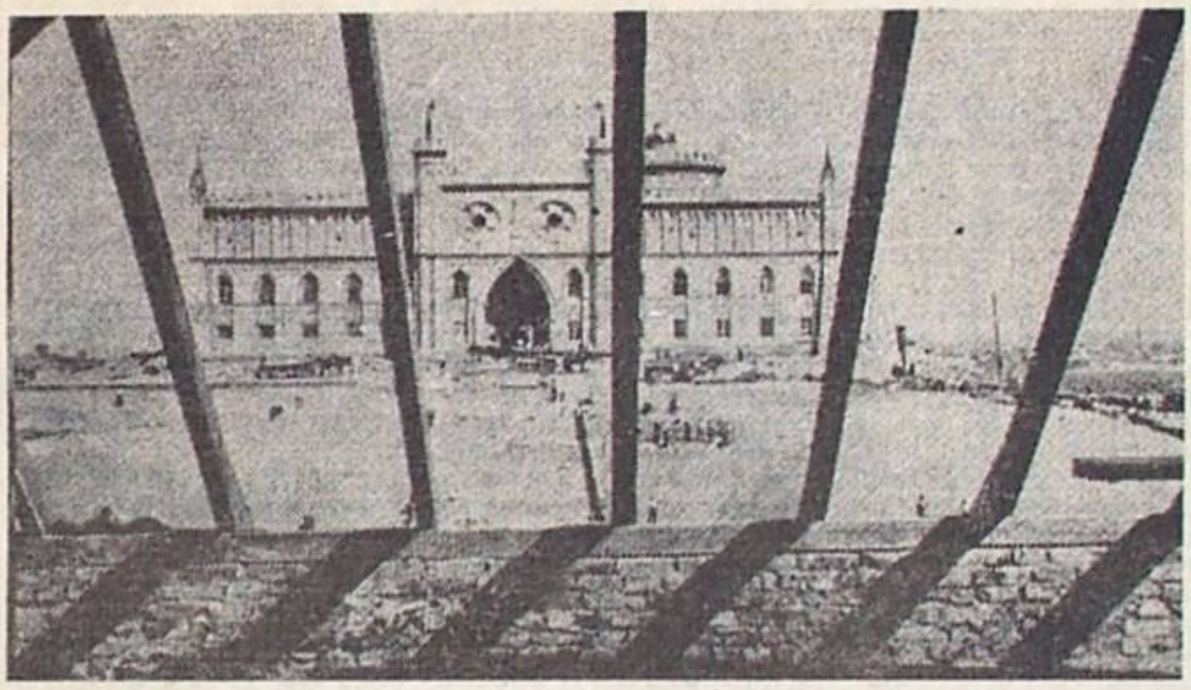

Zamek Lubelski — widok z Podzamcza. Zdjęcie zrobione w pierwszych dniach lipca 1954 r. **Fot. M. A. Jaworski**

„Rozpoczynamy walkę o nadanie Lublinowi wielkomiejskiego charakteru" — pod tym tytułem dziennik opublikował obszerne fragmenty przemówienia I sekretarza KW PZPR, Pawła Wojasa, wygłoszonego na naradzie aktywu partyjnego i gospodarczego. Nawiązując do Uchwały Rządu z 13 stycznia, Wojas nakreślił ogrom pracy i odpowiedzialności, przed którą stanęło miasto. Powiedział też m. in., że „nawet piękny zespół architektoniczny, jakim jest Krakowskie Przedmieście, wskutek naszego zaniedbania i niechlujstwa stanowi dziś niemiły zgrzyt w obrazie miasta. Trzeba będzie poczynić poważny wysiłek, by zastąpić uszkodzone elewacje nowymi, przesiedlić instytucje zajmujące niesłusznie lokale handlowe i usługowe, przebudować i unowocześnić handel na parterach domów"... Spora była w tym doza krytyki i realizmu.

Do redakcji „Sztandaru Ludu" nadchodziła liczna korespondencja od mieszkańców Lublina. Zacytujmy fragment jednego z listów (pani Julii Kowaleczko z ulicy Kołłątaja): „Przez długi okres czasu mieszkałam na Starym Mieście. Patrzyłam nieraz na piękne kamieniczki i widziałam, jak co roku gorzej niszczeją. Początkowo wydawało mi się, że winne są tu władze miejskie, które po wyzwoleniu prawie nic nie zrobiły, by zapobiec zniszczeniu Starego Miasta. Później jednak zobaczyłam, że winę za to ponoszą również mieszkańcy, którzy niszczyli i tak już zniszczone klatki schodowe, urządzenia wodociągowe i kanalizacyjne, a nawet wnętrza mieszkań".

Pani Julia uważała, że „każdy powinien włożyć cząstkę swojej pracy" w odbudowę Starego Miasta. Jakże aktualna okazała się po 30 latach treść tego listu!

12 lutego o godzinie 12-tej w południe zburzeniem bramy więziennej na Zamku Lubelskim rozpoczęła się, jak to zatytułował „Sztandar Ludu", „walka o nadanie Lublinowi wielkomiejskiego charakteru". Pierwsza stanęła do pracy załoga lubelskiego ZBM. Nad całością robót na Zamku z ramienia MRN czuwał inspektor nadzoru inż. Jan Krzemiński i kierownik budowy delegowany z ZBM — inż. Bolesław Szponar. Wśród 100-osobowej załogi była jedyna kobieta, chronometrażystka Władysława Mika, która ze Stanisławem Kaweckim obliczała pracownicze normy robót.

16 lutego historycznej w swej problematyce Sesji MRN przewodniczył Jan Ujma, ówczesny, jak byśmy dziś powiedzieli, prezydent miasta. No i z miesiącem lutym ruszyły — nie tyle lody na Bystrzycy, co czyny społeczne na rzecz wielkomiejskiej odbudowy Lublina. Ale wystąpiły już — jakże nam znane — niedomogi organizacyjne, słabo przygotowany front robót, brak informacji, narzędzi pracy, ciepłych waciaków, w-c, posiłków regeneracyjnych. „Celem przyspieszenia robót adaptacyjnych na Zamku, 5-osobowa brygada Józefa Kawałka zobowiązała się przy wyrzucaniu gruzu osiągnąć 160 procent normy" — to jedna z pierwszych notatek, która rozpoczęła serię budowlanych rekordów i zobowiązań. W lutym też dokonano na Zamku ekshumacji zwłok i pogrzebu ofiar hitlerowskiego mordu. Całe miasto uczciło ich pamięć. Rozpoczęły się też przygotowania do II Zjazdu PZPR.

W marcu prasa notowała: „Zamiast cieszyć się z realizacji imponujących planów, społeczeństwo lubelskie ogląda puste rusztowania". Oberwało się wtedy lubelskiemu ZBM za niedotrzymywanie terminów. Wytknięto brak robotników, materiałów, rozkradanie państwowego mienia, złą organizację pracy.

Kwiecień: „Nie wolno opóźniać prac przy przebudowie Lublina". W sukurs lubelskim budowlanym przychodzą załogi ZBM ze Szczecina, później z wielu innych miast i województw. I znów problemy z kosztorysami, zmieniającymi się, bo też i robionymi na gorąco, projektami, zaopatrzeniem. „Terminy wykonania robót na Zamku są zagrożone" — alarmował „Sztandar Ludu"; 20-dniowe opóźnienie zostało nadrobione.

Maj: „Kiedy wreszcie skończą się skandale przy remontach sklepów?" Prasa nie szczędziła ostrej krytyki. W ledwo co oddanych do użytku sklepach przy ulicy Stalingradzkiej zaczęły odłazić tynki, występować plamy, widoczne były inne niedoróbki. Marnowała się piękna okienna dębina, po której robotnicy wozili taczkami gruz. Łuk czy obelisk? Dyskusja nad projektami pomnika. W 1953 roku rozpisany był konkurs otwarty na ten okolicznościowy monument. I oto zaczęły spływać projekty. Piękne, klasyczne łuki triumfalne, ażurowe w konstrukcji ich parafrazy. Wśród autorów nazwiska architektów i rzeźbiarzy — Pniewskiego, Jarnuszkiewicza, Lacherta, Tołkina. Konkurs na pomnik 10-lecia nie doczekał się jednak realizacji, choć miejsce wystawienia łuku, bo taką formę preferowano, było już znane: u zbiegu Alei Racławickich i ulicy Uniwersyteckiej. Rozsypały się więc w proch te projekty. Jeden z nich przedstawiał tłum ludzi, uginających się pod ogromnym kamieniem z napisem „Manifest 22 Lipca". Autor wyraźnie nie zrozumiał, o co w temacie pomnika chodziło. Coś z poezji? Wiersz Zygmunta Mikulskiego — „Murarzom odbudowującym moje miasto". Czytamy w „Sztandarze Ludu" dalej, że oto szkoli się 100 osób, by mogły uzyskać uprawnienia przewodników PTTK i oprowadzać gości zwiedzających niebawem Centralną Wystawę Rolniczą i nowe Stare Miasto.

Czerwiec. Rośnie w oczach „lubelski Mariensztat". „Starówka lubelska będzie jeszcze piękniejsza niż ta, którą rok temu — na dzień 22 Lipca oddaliśmy Warszawie" — zapewniają warszawscy budowniczowie, którzy pospieszyli z pomocą lubelskim kolegom. Stare Miasto będzie ich trzecią po Warszawie i Gdańsku budową, koroną ich doświadczeń. Inż. Lebiedziński mówi: „Ratujemy każdy szczątek, każdy rysunek architektoniczny, każdą cegłę", choć czasu na dokładne badania i projekty było naprawdę niewiele! Trwa spór o kształt attyk nad staromiejskimi kamienicami. „Deszcze nie deszcze — krzepi „Sztandar Ludu" — burza nie burza, a Centralna Wystawa Rolnicza będzie gotowa na czas!" Znów problemy z zaopatrzeniem w materiały. Kobiety-murarki — Maria Jankowska i Stanisława Wójcik z ZBM Szczecin — wykonują 220 procent normy! Przy freskach, rzeźbach i złoceniach uwijają się artyści: Górnicki (50 lat w zawodzie), Momot, Gałysz, Grześkiewiczowie, Michalscy, Brodziak, Wollenberg, Zwolakiewicz, Filipiak, Sarnecki, Szechert, Zdunek i inni (vide: poprzednia „Kamena", artykuł IJK).

Pierwsze na Starym Mieście odkrycie! Jest to dzisiejsza uliczka Ku Farze, a odkrywcą ówczesny konserwator zabytków — mgr inż. Henryk Gawarecki. „Tempo, tempo... tempo" — ponagla „Sztandar Ludu". „U podnóża Zamku wyłania się obraz CWR", a na Podzamczu pierwsze budynki pod wiechą! Kłopot jedynie z doborem dachówek, każda inna! I tak kładzie się je na „sucho". Po wystawie trzeba będzie dachy rozebrać, umocnić więźbę i na nowo postawić z dobudowanymi mieszkalnymi mansardami. Wszystko jest na tymczasem. Terminy piłą, cholerne przyspieszenie. A wieczory na Starym Mieście ludne i gwarne. Od pierwszej chwili lubliniacy nie spuszczają oka z placów budowy. Oglądają, podziwiają, krytykują. — Popatrzcie tu, na czartowski sąd! Przecież to twarze dyr. Dubińskiego, inż. Szackiego i inż. Opoczyńskiego — głównych „wodzów" odbudowy Starego Miasta. Rzeczywiście!

Gotowy już jest hotel „Europa" na 216 miejsc w 76 pokojach. Po 20 latach znów zajmie je administracja. Na razie dywany, firanki, obrazki i ceny: doba za pokój 1-osobowy 32 złote, 2-osobowy — 48 zł, pokój dzienny dla wycieczek — 8 złotych.

15 lipca 1954 roku jest dniem zakończenia wszystkich robót. Wokół Zamku Zieleń Miejska sadzi jeszcze 300 starych drzew oraz 600 krzewów. Ciekawe, czy starczyłoby tej ilości „materiału" 32 lata później na urządzenie parku na Rurach, łącznie z działkami, które w przyszłym roku mają pójść pod „walec"? Na Podzamczu osiągnięto w tym dniu (15 lipca) stan surowy budynków, których stawianie rozpoczęto w maju. Główny projektant obiektów 10-lecia, prof. Kuźma oraz inż. Geppert, inż. Brunon Wilczewski (pełnomocnik PWRN w Lublinie do spraw 10-lecia) i inż. Mieczysław Opoczyński (główny dyspozytor Biura Pełnomocnika Rządu do Spraw Inwestycji) pilnie przeglądają swoje gospodarstwo. Szczecin i tamtejsze załogi ZBM przodują. Na Starym Mieście 80 procent wykonania planu.

Dokończenie na str. 11

Łęczna - sukces czy porażka? (II)

Bolesław Stelmach

BADANIA pokładów węgla — lubelskiego karbonu, prowadzone przez prof. Jana Samsonowicza przed i po wojnie, umożliwiły określenie zasobów węgla kamiennego na obszarze prawie 14 000 km . regionu środkowo-wschodniego. szar ten, w kształcie wydłużonego klina, rozciąga się między Łęczną Chełmem i został podzielony na trzy efy: Centralny, Południowy i Północny Obszar Węglowy. Wydobycie gla rozpoczęto od południowej częścOW — symbolicznej już Bogdan- Decyzje z lat 1971—73 przesądziły lokalizacji pierwszych kopalń i niekle dynamicznym (nawet jak na nte czasy „przyspieszonego skoku") razie przyszłego wydobycia. Górnicy przecież fachowcy — w oparciu o ukowe przesłanki obiecywali, że do 0 roku 6—9 kopalń będzie wydowało w LZW 18—25 mln ton węgla znie, a po roku 2000 do 40—50 mln ! W pierwszym etapie przewidyno zatrudnienie w przemyśle wydowczym i energetycznym 35 tysięcy ób!

Skala zamierzeń zaowocowała skalą iałań planistycznych. Od połowy lat 0-tych rozwinięto prawdziwą machi- studialno-projektową. Modele techologiczne lansowane w tamtych czach włożyć można dzisiaj między fike, ale wtedy przyjmowano je bez zarzeżeń. Zasadzały się one na centralym ośrodku przetwórczym węgla w w. dzielnicy przemysłowej koło Łęczj, do którego szybkie transportery iały przenosić urobek ze wszystkich opalń. Podobnie zamierzano rozwiąć problemy socjalne czy techniczne ilóg górniczych (np. naprawa sprzętu) brano pod uwagę szybkie środki zenoszenia, ruchome chodniki, intenwną centralną obsługę placówek ydobywczych. Celem było oczywiście nniejszenie czy nawet zlikwidowanie olegliwości rozwoju LZW: zapylenia, jmowania olbrzymich obszarów.

Decyzje zapadły w 1976 roku, kiedy Państwowa Rada ds. Gospodarki zestrzennej zaopiniowała warianty zwoju LZW. Potem — w 1979 roku — djęta została Uchwała Rady Miniów „w sprawie kompleksowego zaspodarowania Centralnego Rejonu ęglowego w LZW".

Skończyło się w 1980 roku; wiele rzonek zawaliło się wtedy z hukiem, tym i rojenia o unikalnych technogiach, szybkich kolejach, transporteh dla ludzi do centralnej łaźni i atni. Wcześniej już pojawiły się oblemy planistyczne — w 1975 roku organizacja administracyjna kraju, której LZW podzielono między tery województwa bez przekazania lpowiednich kompetencji jednostce ordynującej. Tymczasem od 1973 roi prowadzono już prace przy kopalni lotującej w Bogdance (13 km od cznej) i jak się okazało, planowanie, wet tak rozległe, nadążało jeszcze za ianami przestrzennymi.

Zaakceptowanie planu w 1980 roku iegło się jednak z uświadomieniem bie jego nierealności i tym samym lkowitej nieprzydatności. Tak więc nad dziesięcioletnie przemyślenia olzymiej liczby specjalistów odłożono półkę — dalszych prac nie wykoje się w skali całego założenia, a lko dla pewnych wycinków, na któch prowadzone są inwestycje.

Mimo że prace wydobywcze w Zabiu prowadzone są o wiele wolniej w okrojonym zakresie, to przecież dal istnieje funkcja wydobywcza w efie unikalnych wartości ekologiczch, krajobrazowych, a przede wszystm rolniczych. Nadal są to ogromne oblemy kolizji — z jednej strony — opalń, miejsc składowania i wzbogania węgla — z drugiej — gleb rolniczych i środowiska przyrodniczego; nadal wiele tych wartości jest zagrożonych i nie prowadzi się prób kompleksowego opracowania tego problemu w zmienionych, realnych ramach. Przy czym, gdy ze względu na brak środków wyeliminowano technologie o wysokim stopniu skomplikowania (ale zapewniające najlepsze warunki dla środowiska i pracowników), pojawiło się szereg dodatkowych trudności w utrzymaniu ekologicznej równowagi.

Podobno trwają w tej chwili prace nad ekspertyzą PAN w sprawie Zagłębia, która ma zadecydować o jego przyszłych losach. Nie jest tajemnicą, że wszystko, co w planowaniu działo się do roku 1980, napędzała siła... mistycznej niemal wiary, toteż „prognozy" i „badania" górnicze, na których oparto decyzje wydobycia, można dzisiaj pisać tylko w cudzysłowie. Nikt obecnie jeszcze nie może dać precyzyjnej odpowiedzi, jakie naprawdę są perspektywy lubelskiego węgla i od czego one zależą.

Jedno wszak nie ulega kwestii: musi być zachowana ciągłość działań planistycznych, zaś skala zamierzeń może wpłynąć tylko na zakres, a nie na fakt podjęcia czy zaniechania planów. Nadal bezpośrednio odpowiedzialny za koordynację prac planistycznych jest Urząd Wojewódzki w Lublinie i dziwi, że brak rejestracji i studiów zmian, które zaszły na olbrzymim przecież terenie.

Decyzje, a za nimi realizacje, dobrym zwyczajem oddane w gestię najróżniejszych ministerstw, spowodowały szereg zaszłości zagospodarowania przestrzennego, i nie tylko przestrzennego, których ustalenie jest w tej chwili potrzebą kardynalną. Jeżeli ktoś miałby co do tego obiekcje, to opinię tę powtarzam za byłym generalnym projektantem ALZW. Że tempo prac przy kopalniach spadło, a nawet, że większość elementów byłego systemu osadniczego stoi pod znakiem zapytania, wcale nie oznacza, iż wiemy np., jak będziemy zagospodarowywać tereny szkód górniczych. Plaga ta, tak dolegliwa na Śląsku, w Zagłębiu Lubelskim miała się przecież nie powtórzyć. Jak będzie wyglądało miasteczko górniczo-rolnicze (np. Milejów, Puchaczów), które jest jednym z ogniw aglomeracji, jak projektować górnicze osiedla dla Łęcznej? Problemów jest o wiele więcej i wydaje się, że czekaniem ich się nie rozwiąże.

W refleksjach nad planowaniem LZW słyszymy, że owszem, założenia poprzednich etapów planowania były cokolwiek absurdalne i że głównie dwa fakty stały się przyczyną niepowodzenia: „słabość planowania jako dyscypliny w ogóle" i „frustracje w wyniku drastycznego ograniczenia zamierzeń [po 80 roku — B.S.]".

Plan ALZW był, jest i będzie potrzebny tylko dla zaspokojenia wymogów formalnych, a nie dla usprawnienia lokalnej polityki przestrzennej, to znaczy, iż jedynymi, którym rzeczywiście na planie zależy, są... sami planiści. Podejrzewam, że gdyby dzisiaj w ciągu jednej nocy wszyscy polscy urbaniści wylecieli do Syrii, co nie jest znów tak absurdalną perspektywą, to nic, ale to nic w procesie zarządzania i podejmowania decyzji by się nie zmieniło. Nawet zrobiłoby się dużo lżej, bo przestaliby wreszcie nudzić i przeszkadzać w „budowaniu nowej przyszłości".

Z pewnością słabe są metody planowania, jednak podstawowym pytaniem jest — komu i do czego plan ma służyć? Jeżeli brakuje koordynacji planowania gospodarczego z przestrzennym i wyraźnego rozgraniczenia kompetencji i środków działania dla potrzeb różnych obszarów, w tym i LZW, to funkcja planowania w ogóle jest wielce enigmatyczna. Jeżeli jeden telefon ministra może zmienić decyzje całego sztabu urbanistów i naczelnika czy prezydenta, to planowanie nie ma racji bytu. Rzeczywista decentralizacja terytorialna to wymóg kardynalny, a od jej wprowadzenia będzie zależało, czy planowanie stanie się w ogóle przydatne. Ja widzę czarno, bardzo czarno, bo gdy brakuje w państwie środków, to jest pretekst do centralnego systemu ich dystrybucji, decentralizacja będzie więc jeszcze przez wiele lat tylko deklaracją.

W tak zarysowanych perturbacjach Zagłębia Łęczna pojawiała się bądź to jako podwójne ogniwo aglomeracji o funkcji mieszkalno-turystycznej, bądź jako 120—150-tysięczny, wielofunkcyjny już moloch!

Zaprzestanie prac projektowych nad Aglomeracją miało paradoksalnie korzystny wpływ na zakończenie planu ogólnego zagospodarowania miasta. Na rozwiązaniach planu zaciążyły jednak decyzje podejmowane od 1976 roku, które mimowolnie, bez dostatecznych studiów, lokowały np. osiedla górnicze, bo Łęczna była po drodze z Lublina do Bogdanki. Niepowodzeniem zakończyły się próby głębszego przeanalizowania tych zagadnień czy ze wszech miar pożądanego włączenia nowej Łęcznej do mieszkaniowego programu rządowego PR-5, o którym pisałem na tych łamach.

Miasto powstawało więc równolegle z planem ogólnym albo i przed nim, bez uwzględnienia specyfiki miejsca, w standardowych, szablonowych technologiach i formach dyktowanych przez zakłady prefabrykacji, dźwigi, sztywne instalacje infrastruktury. Zaspokojeniem potrzeb mieszkaniowych górników zajęła się spółdzielnia mieszkaniowa.

W założeniu natomiast miał być to „wzorzec miasta XXI-wieku, w którym rozwiązania służące osadnictwu powinny uwzględniać socjalistyczny model życia społecznego, a równocześnie nawiązywać poziomem nowoczesności rozwiązań urbanistyczno-architektonicznych i komunalnych do nowoczesności zamierzonych rozwiązań w projektowaniu wydobycia węgla".

Każdy, kto był w Łęcznej, wie, jak daleko rzeczywistość odbiega od tych postulatów z 1976 roku. Po dziesięciu latach widać, że żaden z elementów pięknej wizji nie doczekał się realizacji. Dzisiaj „telewizyjne miasto" to smutny obraz niszczejącego Starego Miasta, szablonowych osiedli, pustych placów zamiast usług, szkół, przedszkoli, niezagospodarowanych skarp zamiast parków i tras spacerowych. Dojmujący jest brak szpitala. Poza tym same rozwiązania urbanistyczno-architektoniczne nie przystają do specyfiki życia górników. Jeżeli cały dzień pracuje się głęboko pod ziemią, wpływa to na styl życia rodzinnego, preferowane sposoby aktywności kulturalnej czy rekreacji. Wszystko to tworzy niepowtarzalny klimat społeczności górniczej. W wypadku nowej Łęcznej wartości tych nie ma — zostały dokładnie wyeliminowane. Osiedla w Łęcznej, tak jak w każdym innym miejscu Polski, to zunifikowany, robotniczy dodatek do produkcji.

Jeżeli dawna Łęczna miała kształt przestrzenny dostosowany do specyfiki tamtejszej społeczności — miasta handlu — to nic we współczesnym mieście nie świadczy o jego specyfice. Wydawałoby się oczywiste, że funkcje ośrodka górniczego powinny być widoczne „na zewnątrz" — w rodzajach zabudowy, strukturze programów zespołów mieszkalnych. Jednak realizacje zadają bolesny cios podobnym wyobrażeniom.

Podnoszony przez architektów problem braku miasta, który pojawia się na tym tle, to kwestia kryzysu podmiotowości życia społecznego, a nie warsztatu urbanistycznego. [illegible] przynajmniej nie w pierwszym rzędzie. Powiedziałbym nawet, że pojmowanie miasta, zaprezentowane koleżeńsko we wspomnianej dyskusji („Architektura" 6/85), będzie tak długo fałszowało warsztat urbanistyczny, jak długo nie wrócimy do idei miasta w systemie społecznym. Nie po to, aby hołdować przeżytkom czy demontować państwo, ale dla przyswojenia, interpretacji i rozwinięcia wartościowych zasad, które nie pozwalały na rozkwit tkanki miejskiej.

To społeczność, która powinna być zorganizowana jako podmiotowa, samorządna struktura terytorialna o własnych, niepowtarzalnych interesach, a te można i trzeba negocjować w układzie nadrzędnym — wojewódzkim czy krajowym. Jeżeli brak rzeczywistego, odpowiedzialnego gospodarza, miasto pozostaje papierowym tworem urbanistów, a plany są „sztuką dla sztuki". Perspektywy przewartościowań prawnych w tej sferze, bo o nie idzie, zasygnalizowałem wyżej przy okazji LZW, a z braku miejsca nie będę rozwijać tej problematyki.

Na zakończenie chciałbym dodać tylko, że zatwierdzenie planu ogólnego Łęcznej, cokolwiek by on oznaczał, nie pozwala, moim zdaniem, na właściwy rozwój jej organizmu osadniczego. Konieczne są pogłębione plany szczegółowe, gdzie można szukać rozwiązań wskazanych wyżej kwestii. Z tego, co wiem, studia szczegółowe miasta nie są prowadzone, nie ma opracowań na temat miejsca samochodu w mieście, gdzie przekroczone są krajowe „wskaźniki motoryzacji", a brak parkingów i garaży to autentyczna uciążliwość.

Problemów jest wiele i jeżeli będą — tak jak do tej pory — traktowane jako zło konieczne do przezwyciężenia, doraźnie na etapie realizacji osiedli w biurach typu „Inwestprojekt", to wrócą do nas spotęgowane i będziemy skazani na rozwiązania kalekie, szczątkowe. Można np. postulować w tej chwili, jak to ma miejsce w niektórych pracach IKS, aby „priorytet Łęcznej" polegał na odpowiednim systemie podatkowym, tak aby żony czy w ogóle członkowie rodzin górników byli zwolnieni od podatków przy zakładaniu zakładów usługowych. To znaczy, aby mechanizmy finansowe i organizacyjne, powodowały rozwój sfer zaniedbanych, szczątkowo wegetujących w społecznym pejzażu. Trwałe zmiany w przepisach o długim horyzoncie obowiązywania dałyby tak utęskniony efekt żywego miasta: kawiarenek, knajpek, kręgielni czy czego tam jeszcze.

Pięć wieków istnienia Łęcznej z pewnością nie skończy się na naszym pokoleniu i jest jeszcze czas, aby „trzecia prosperity" nie była z perspektywy historycznej odbierana jak kozacki najazd.

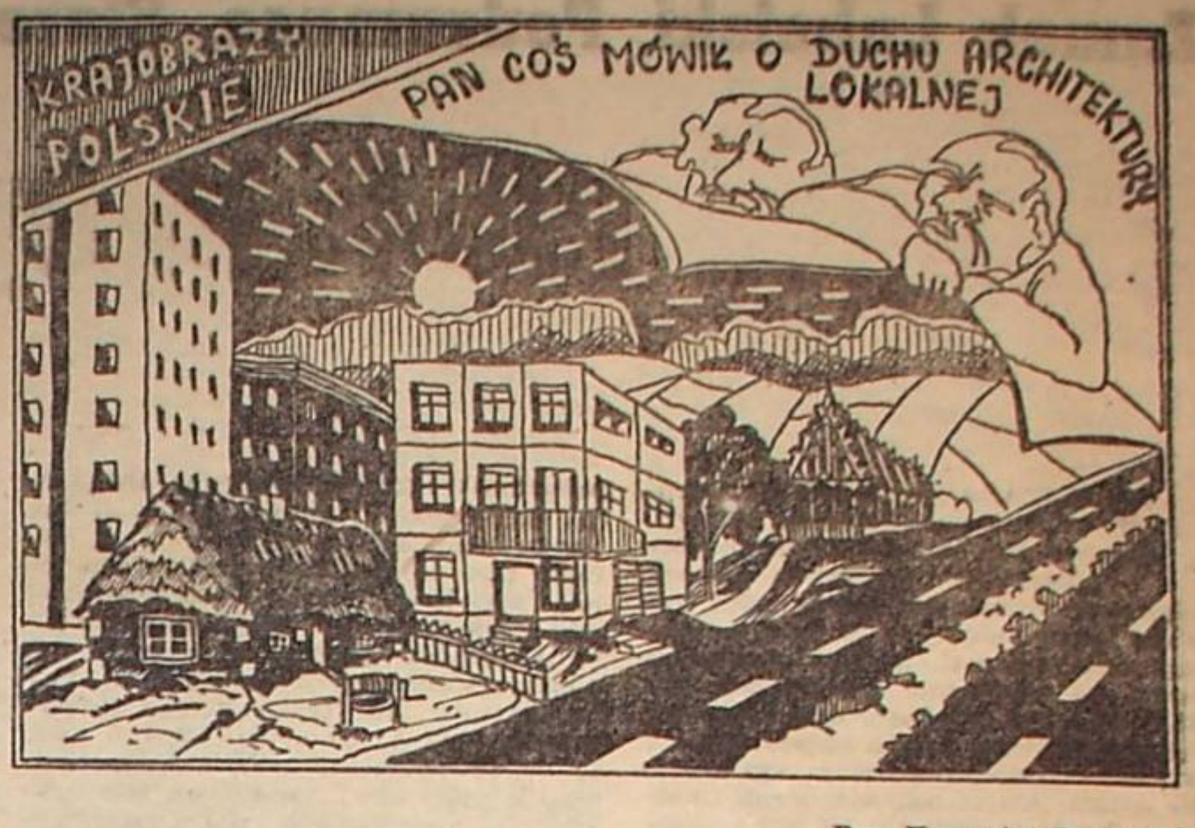

Rys. Krzysztof Borowski

DROGA DO PIASK czyli o telewizji

Wiesław Horabik

NA niewielkie, starannie dobrane wzniesienie na obrzeżu Piask nie wjechały jeszcze buldożery, ale miejscowość przeczuwa już szansę. Znana dotąd z fiaków i książek Singera, ma teraz okazję stać się ośrodkiem nowoczesnej techniki. Jak wiele, a nawet czy cokolwiek da Piaskom budowa centrum nadawczego telewizji, trudno dzisiaj przewidzieć. Pewnie, że to nie to co kombinat metalurgiczny czy nawet fabryka butów. Samo jednak głębsze zakodowanie nazwy miejscowości w świadomości powszechnej, nie mówiąc już o poszerzeniu możliwości zatrudnienia, wydaje się nie bez znaczenia. To coś innego niż odległy od ludzkich siedzib, stary i wysłużony Boży Dar. A przecież i jego powstawaniu towarzyszyły niemałe emocje. (Ludność okoliczna, nie dowierzając informacjom prasowym, długo i uporczywie utrzymywała, że chodzi o budowę wyrzutni rakietowej). W Piaskach problem dotyczy trudności z wywłaszczeniem gruntu.

Co by się jednak rzekło, w osadzie powiało telewizją. W lubelskim „Retorze" (Rejon Eksploatacji Technicznej Obiektów Radiokomunikacji) powiało zaś nadzieją. Nowe centrum ma do złagodzenia narosłe przez lata bolączki: trudności ze znacznym wyeksploatowaniem sprzętu, problemy z brakiem stacji nadawczej do przekazywania w sposób prawidłowy II programu telewizji, podniesienie jakości odbioru programów radiowych, a nawet kłopoty lokalowe administracji. Dyrektor więc „Retoru", inżynier Zbigniew Jeleń, z dumą rozkłada przede mną plan nowego centrum. Patrzymy na grube krechy dojazdowych dróg, rozległy prostokąt budynku stacyjnego, trójkąt przekaźnikowego masztu, który ma mierzyć 346 metrów wysokości. (Boży Dar 220).

— Rozpoczęcie budowy planujemy na rok bieżący — mówi dyrektor. — Chcielibyśmy ogrodzić teren, wywiercić studnie głębinowe, doprowadzić linię energetyczną, wybudować drogę dojazdową. Całość prac powinna być ukończona w 1989 roku. Nowy obiekt przejmie w przyszłości wszystkie funkcje Bożego Daru, poza emitowaniem fal średnich.

Kiedy tak rozmawiamy, rodzi się we mnie nieodparte przekonanie, że nie tylko u nas w regionie, ale w całym kraju, wciąż zostawaliśmy w tej dziedzinie wyprzedzani przez sąsiadów, przez świat. Nie kryje się za tym z pewnością brak uzdolnionej kadry, brak chęci czy brak bazy technologicznej. Kryje się jedynie krótkowzroczność planistów, nasza narodowa maniera załatwiania spraw na dziś, bez dostrzegania jutra, liczenie na zryw społeczny tam, gdzie właściwe działania administracyjne załatwiłyby sprawę i lepiej, i bardziej fachowo. Dlatego Piaski to nie wyłącznie nowe centrum, ale to także swoisty symbol nowego widzenia rzeczy.

Kiedy w Lublinie uruchamiano pierwszą radiostację dużej mocy, w ośmiu innych miastach wojewódzkich pracowały już stacje telewizyjne. Trzeba było ogromnej aktywności garstki zapaleńców, sprzedaży papierowych cegiełek, dopraszania się u możnych, aby wcześniej, niż to przewidywały plany Centralnego Zarządu Radiostacji i Telewizji, uruchomić u nas, po ciężkich bólach, telewizyjną stację nadawczą. Wobec braku dewiz, do wyposażenia stacji trafił prototyp pierwszego polskiego nadajnika telewizyjnego, który nie przeszedł jeszcze nawet atestów w zakładzie konstrukcyjnym. Nic więc dziwnego, że choć pod naciskiem społeczeństwa, władz i Społecznego Komitetu Budowy nadajnik podjął 1 maja 1962 roku pracę programową, to jakość emitowanego sygnału przedstawiała się mizernie (szumy, zaniki propagacyjne, zakłócenia od innych stacji TV). „Kurier Lubelski" pisał wówczas, że „tele widać co i nic".

Prototypowy nadajnik został zamieniony na bardziej nowoczesny o mocy 10 kW dopiero w 1970 roku. Kiedy już otrzymaliśmy obraz naprawdę dobrej jakości, okazało się, że Telewizja Polska rozpoczyna nadawanie pierwszych programów kolorowych. W handlu pojawiły się radzieckie „Rubiny — 401". „Niestety — cytuję sprawozdanie o działalności Bożego Daru w latach 1957—1977 — nadajniki TV pracujące w Lubelskim Ośrodku Nadawczym nie są przystosowane do transmisji koloru". Na szczęście z tym zaskoczeniem szybko poradzili sobie fachowcy. 1 maja 1971 roku można już było oglądać w Lublinie kolorowy, w całym znaczeniu tego słowa, pierwszomajowy pochód.

Następne zaskoczenie obciąża już wyłącznie konto centrali. Kiedy w październiku 1970 roku Komitet ds. Radia i Telewizji rozpoczyna produkcję II programu telewizyjnego, w praktyce, poza Warszawą, nie ma ośrodków przygotowanych do jego przekazywania. Emisja takiego programu powinna odbywać się w zakresie fal decymetrowych (na kanałach 21—60), a nie, jak w przypadku „jedynki" — metrowych (1—12). Przemysł nie produkuje jednak jeszcze odpowiednich do tego celu odbiorników, a rozrzucone po kraju maszty i wieże transmisyjne nie są w stanie przekazać „dwójki". Trzeba byłoby wybudować nową sieć nadawczą. Jest to jednak okres, kiedy fundusze inwestycyjne, nie zawsze w najszczęśliwszy sposób, trafiają głównie do innych dziedzin gospodarki, choć telewizji nikt nic nie ujmuje. Przyjęto więc koncepcję tymczasowego nadawania tego programu za pomocą sieci nadajników małej mocy, w zakresie częstotliwości programu I. Stąd do dziś odbicia i zniekształcenia obrazu. Ta tymczasowość trwa bowiem już kilkanaście lat. Kiedy w odpowiedniej chwili duże ośrodki (Katowice, Wrocław, Kraków) zabrały się za porządkowanie problemu (wzniesiono w końcu stacje nadawcze dla II programu), Lublin nadal zadowala się prowizorką na jedenastym piętrze budynku przy Al. Świerczewskiego, a potem wtopioną w okoliczne wieżowce i pagórki — wieżą przy Raabego. (Szczęście, że nie zaskoczyła nas „trójka", o której już swego czasu przebąkiwano).

Dlatego centrum w Piaskach to nie tylko konieczność, ale także swoisty symbol nowego widzenia rzeczy. Tylko czy, kiedy już powstanie, nie będzie znów spóźnione w stosunku do potrzeb, choćby takiej telewizji satelitarnej, o której coraz głośniej?

— O to się nie martwię — mówi dyrektor Jeleń. — Po pierwsze, szum wokół telewizji satelitarnej wydaje mi się mocno przesadzony. Są już co prawda w sprzedaży różnego typu konwertery i anteny odbiorcze, ale koszty tych urządzeń (około 1300 dolarów) daleko odbiegają od powszechnej dostępności. Po drugie, świat nie jest jeszcze do tego typu emisji przygotowany i, sądząc po wynikach prób, nieprędko będzie. Niemniej wyposażenie centrum w Piaskach gwarantuje nam, i mówię to z całą odpowiedzialnością, gotowość pełnego włączenia się w każdy typ nowości technicznych, przewidywanych w rozwoju telewizji w okresie najbliższych kilku lat. Wyposażenie to w niczym nie będzie odbiegać od najwyższych standardów, obowiązujących obecnie w świecie. Ośrodek przygotowany będzie do emisji III programu i ewentualnych następnych. Tylko telewizja cyfrowa mogłaby nas zaskoczyć, ale jej pojawienie się jest jeszcze kwestią bardzo głębokiej przyszłości.

Pozostaje nam więc pilnie śledzić postęp robót na budowie w Piaskach. Poparcie władz wojewódzkich i miejskich, jest, co szczególnie podkreśla dyr. Jeleń. Ważna to sprawa, gdyż bez tego trudno byłoby obecnie znaleźć nawet wykonawcę na taką inwestycję, nie mówiąc już o kłopotach innej natury. Nim jednak popłynie do nas, za pośrednictwem nowego centrum nadawczego, klarowny i czysty obraz wszystkich programów, o jakich zamarzymy, stary, dobry Boży Dar musi dotrwać końca swoich dni. A coraz mu trudniej. Urządzenia, eksploatowane pełną mocą przez wiele lat, narażone są szczególnie na defekty i uszkodzenia. (Że przypomnę choćby kilkuminutową przerwę w emisji serialu „Ośmiornica", która tak bardzo poruszyła naszą społeczność i kolegów po piórze).

— Telewizja — mówi inżynier Stefan Gronowski, szef Sekcji Eksploatacji w Bożym Darze — tak już wrosła w nasze życie, że jej dopływ traktujemy, jak dopływ wody. Niewielu ludzi ma świadomość, jakiego wysiłku i gotowości wymaga bezkonfliktowe utrzymanie emisji. Praca w Bożym Darze jest pracą w systemie ciągłym. Boży Dar to przecież nie tylko telewizja, to także radio, a nawet radiowe linie telefoniczne. Odpowiedzialność za prawidłowe funkcjonowanie całego tego systemu spada na barki kilkudziesięciu pracowników, w tym dwudziestu czterech pracowników technicznych. Kiedy wszystko przebiega normalnie, efekty naszej pracy są niedostrzegalne. W momencie jednak jakiejś usterki odzywa się oburzenie społeczeństwa, dociekliwość prasy, rozgoryczenie widzów. Przestajemy wtedy funkcjonować na głębokim zapleczu życia. Tymczasem o naszej codzienności warto by także pamiętać. Nie zawsze zresztą usterki są wynikiem naszej działalności. Często powstają na łączach, daleko od centrum. Krytyka, jeśli słuszna, mobilizuje nas do lepszej pracy, największą jednak przyjemność sprawiają nam telefony od pasjonatów, proszących o techniczną poradę, interesujących się radiotechniką, konsultujących wątpliwości. Okazuje się, że jest ich wcale niemało.

Objaśnia mi inżynier zasady telewizyjnego przekazu; tłumaczy drogę sygnału od studia do mojego domu, aż znów nieodmiennie dochodzimy do satelity. Pozbawiony żyłki politechnicznej, niewiele zapamiętuję z fachowości tych wywodów. Pozostaje mi w wyobraźni jedynie świat pocięty kablami i wieżami transmisyjnymi; świat, po którym bezustannie przebiegają miliony sygnałów, promieni, impulsów. To dzięki tej statce przed naszymi oczami rozgrywa się dramat świata, wielkie spektakle z dziedziny sportu i kultury, drobne tragedie w najmniejszych zakątkach globu. Patrząc na ustawiczne czuwanie pracowników w Bożym Darze, dochodzimy nagle obaj do wniosku, jak łatwo w sumie zdmuchnąć tę delikatną sieć rozwieszoną nad ziemią. Kruchość tego gigantycznego przedsięwzięcia sięga aż do absurdu ludzkiego działania. Oglądając zatem planszę, choćby z dalekiego Meksyku, warto pamiętać (nie tylko przy okazji Dnia Łącznościowca) o ludziach, których skupiona uwaga przynosi nam do domu wielki świat.

Z tymi ludźmi, a właściwie z ich naborem, są zresztą w „Retorze" największe problemy. Kadra fachowców elektronicznych z prawdziwego zdarzenia dopiero nam się wykluwa, wyszkolenie doświadczonego pracownika wymaga czasu i cierpliwości. Rotacja w zatrudnieniu jest jednak olbrzymia. Praca zmianowa, kłopotliwe dojazdy do odległych centrów, ogromna odpowiedzialność — wszystko to leży u podstaw tej pracowniczej ruchliwości. Zarobki zaś, w proporcji do innych przedsiębiorstw, ustawicznie pozostają w tyle. Są to problemy nie tylko tej branży, przy jej specyfice jednak stanowią szczególne utrudnienie. Rozbudowując przestrzeń dla urządzeń technicznych zapomniano także o ludziach. Administracja „Retoru", rozsypana po różnych dzielnicach miasta, swą centralną bazę zachowuje w małych pokojikach telewizyjnej wieży przy ulicy Raabego. Jedyną atrakcją tego usytuowania jest nietypowe, wieloschodowe dotarcie do biurowych pomieszczeń. Są więc Piaski nadzieją na rozwiązanie i tych kłopotów.

Ważną rzeczą jest, aby pozostały na długo nie tylko nadzieją, lecz i swoistym symbolem nowego widzenia rzeczy. Kolejne pozostanie w tyle, gdy świat wciąż odchodzi naprzód, jest bowiem coraz trudniejsze do odrobienia.

Mali przyjaciele Terpsychory

NAJWIĘKSZYM dla nich przeżyciem są doroczne popisy w domach kultury, szkołach i klubach. Pamiątką — zdjęcia. Wspomnienia tancerzy uskładały się już na całe 30-lecie Społecznego Ogniska Baletowego, do którego przyszli, by zaprzyjaźnić się z Terpsychorą.

Na początku, w 1956 roku, było ich 64. Zachęciła ich inicjatywa ówczesnej dyrektor Miejskiego Domu Kultury na Zamku Lubelskim, pani Ireny Szczepowskiej-Szychowej, rozentuzjazmowała praca pierwszych Ogniska tego wychowawców: pań Róży Sternik i Marii Grodzkiej, panów Zbigniewa Kwiatkowskiego i Tadeusza Bartkowicza.

Prawdziwa scena była miejscem ich pierwszych artystycznych przeżyć, a dla rodziców okazją do niejednej łezki na widok tańczącej pociechy.

W 1973 roku patronat nad Społecznym Ogniskiem Baletowym przejęło Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie, by w roku 30-tego jubileuszu dzielić satysfakcję z tak wytrwałej i pożytecznej działalności Ogniska. Skupia ono obecnie około 300 dzieci i młodzieży, które niezależnie od swoich tanecznych predyspozycji — bo liczy się tu chęć i zainteresowanie — zdobywają podstawowe i różnorodne umiejętności z zakresu rytmiki, umuzykalnienia, tańca ludowego, narodowego, regionalnego, także klasycznego i nowoczesnego. Nieobca więc im się staje teoria i historia tańca i baletu.

Społeczne Ognisko Baletowe w swoim dydaktyczno-wychowawczym toku spełnia — można śmiało powiedzieć — funkcję szkółki baletowej. Wielu z małych i młodych tancerzy Ogniska rozwija później swoje zainteresowania w szkolnych lub uczelnianych zespołach pieśni i tańca, niektórzy, jako przyszły kierunek swojej nauki, wybierają — muzykę. Na długo więc pozostaje wykształcone tu poczucie rytmu, estetyki, potrzeba współuczestniczenia w kulturze. Od siedmiu lat Społecznym Ogniskiem Baletowym kieruje pani Ewa Frąc, choreograf z zawodu, pedagog z zamiłowania, z pasji — społecznik. Wspomaga ją w pracy 10-osobowa kadra ludzi młodych, pełnych zapału, o wysokich zawodowych kwalifikacjach. Nieoceniona dla działalności Ogniska jest także pomoc Komitetu Rodzicielskiego.

Ognisko skupiające małych przyjaciół Terpsychory ma również sojuszników w politycznych, administracyjnych władzach i organizacjach Lublina. W Brześciu i Debreczynie — przyjaciół i bratanków. W ostatnich latach tancerze Ogniska występowali na tamtejszych estradach.

Z okazji 30-lecia Ogniska występował w Lublinie Zespół Domu Kultury Związków Zawodowych z Brześcia, rewizyta jest więc murowana.

Po jubileuszowych radościach zostaną dyplomy, odznaczenia, nagrody, i trochę wakacyjnego odpoczynku.

(dey)

Jan Henryk Cichosz

UŁANI

ocaleli
i zapomnieli nawet
obmyć twarz z wojenki,
rozbroić konie...

a teraz
czekają z przełamaną
lancą i szabelką
na ostatni rozkaz
którego nikt już
nie wyda.

* * *

dzwoniłem do Ciebie
gdy padały świętojańskie deszcze
chciałem Ci przeczytać
swój nowy wiersz

w słuchawce ktoś wołał
że jest samotny
a wciśnięty
w kąt mojego oka
kolorowy motyl
odlatywał w wieczność

dzwoniłem do Ciebie
ale Twój telefon milczał
w centrali międzynarodowej
powiedzieli mi
że numer 200878-1444
nie odpowiada
już od ośmiu lat
dzwoniłem do...

CZAS

poprzez ogrody
gdzie uschnięte jabłko
wyrasta w słońce
biegnie od stuleci
ten sam chłopiec
z siatką na motyle.

RYBA

złowiona w sieć
na białym obrusie
pachnie dymem
— rzeka bez wody
zapisana
na rzymskich murach.

* * *

odwiedziłem cię Mario
raz jeszcze
w pokoju
ozdobionym zasuszonymi motylami
czytałaś mi wiersze
poetów o których
nigdy nie słyszałem
i piliśmy wino
czerwone jak krew
odwiedziłem cię Mario
raz jeszcze...

● Książki ● Książki ● Książki ● Książki ● Książki ● Książki ●

Kariera autentyku

WIELKA fala zainteresowania dziennikiem prawdziwym i konwencją dziennikową w powieści przyniosła ogromną liczbę wznowień tekstów diariuszowych z minionych epok i równie dużą ilość nowych dokonań pisarskich w tym zakresie. Jednym z owoców tego zainteresowania jest książka Haliny Ludorowskiej pt. „Współczesna niemieckojęzyczna powieść dziennikowa po roku 1945", wydana w oficynie Państwowego Wydawnictwa Naukowego.

Ostatnie dziesięciolecia, zdaniem lubelskiej autorki, przyniosły wiele ciekawych utworów z tej odmiany powieściowej w obu literaturach niemieckich, literaturze austriackiej i szwajcarskiej, tej w języku niemieckim. Wystarczy wspomnieć chociażby książki M. Frischa „Montauk", czy „Rozmyślania nad Christą T." Ch. Wolf.

Problemy dziennika jako formy literatury pięknej, konwencji dziennikowej w powieści i wariantów współczesnej powieści dziennikowej niemieckiego obszaru językowego wyznaczają trzy części omawianej publikacji.

W części I autorka wytycza zakres gatunkowy prozy w formie dziennika, sygnalizując obecność form przejściowych i omawia historię gatunku po roku 1945. W rzeczowym komentarzu genealogicznym eksponuje także kulturowe, socjologiczne i filozoficzne przesłanki tego zjawiska. Diariusz, wchodząc w „związki krwi" ze strukturą powieściową, uruchamia szereg przekształceń. Ożywia skostniałe konwencje i chwyty powieściowe poprzez rezygnację z 3-osobowej narracji fabularnej i powiązań temporalnych na rzecz relacji 1-osobowej, eksperymentu, otwartości i niepewności, poszukiwań i kultu miałkich drobiazgów, perspektywy wieloczasowej, dystansu i nieraz ironicznej gry ze słowem, prawdą i z myśleniem.

W części II autorka wyznacza konstytutywno-kompozycyjne i narracyjne elementy współczesnej powieści dziennikowej i wskazuje na zaadaptowane przez powieść dziennikową konwencje literackie. Analizuje techniki — także graficzne — zapisów dziennikowych, podkreśla rolę kalendarza w konstrukcji czasu i konwencji wydawcy oraz wkładki diariuszowej we współczesnej powieści dziennikowej, i innych jej odmianach. Osobny rozdział poświęca H. Ludorowska narracji w tego typu powieściach, podkreślając znaczenie kategorii autora jako klucza interpretacyjnego i dominanty porządkującej inne składniki utworu.

Część III poświęcona jest przeglądowi dokonań najbardziej interesujących i charakterystycznych w zakresie powieści dziennikowej niemieckiego obszaru językowego, perspektywom rozwoju tego gatunku i jego odmian pogranicznych. Na przykładzie powieści Barbary König, Reinharda Baumgardta, Güntera Grassa, Franza Fühmanna, Christy Wolf, Hansa Cibulki, Heinricha Bölla, Barbary Frieschmuth autorka wskazuje nawiązania do konwencji powieściowej autotematyzmu, autobiografizmu, kroniki rodzinnej i powieści o polityce. Rozważania na temat wybranych utworów wspierają i dopełniają liczne odniesienia kontekstowe interesujące egzemplum z różnych literatur europejskich oraz uwagi świadczące o dobrej znajomości historii i teorii powieściopisarstwa niemieckiego obszaru językowego.

O walorach omawianej książki zadecydowała, obok niewątpliwie interesującego tematu — erudycja autorki i łatwość z jaką porusza się ona w gąszczu teoretyczno-literackich opracowań z tej dziedziny, wyzyskując często polskie egzempla literackie i opracowania naukowe (wybitnych teoretyków). Książka penetruje również trafnie zjawiska kulturalne, społeczne i polityczne inspirujące powieść dziennikową, dokumentujące jej popularność w niemieckojęzycznych literaturach i skłania do porównań z sytuacją tego gatunku w literaturze polskiej. Tym bardziej, że skala tego zjawiska jest u nas podobna i obserwowana od dawna przez badaczy, a przeczuwana przez laików, którym wystarczy śledzić rynek księgarski, by wykryć omawiane prawidłowości świadczące o popularności konwencji dziennikowej. Chciałoby się wówczas, by i polskie powieści dziennikowe doczekały się tak wnikliwego opracowania monograficznego. Warto też dodać, że jest to druga książka o literaturze niemieckiej powstała w środowisku germanistów UMCS — istniejącym dopiero 10 lat.

Wiesława Bednarczyk-Sołtys

H. Ludorowska, Współczesna niemieckojęzyczna powieść dziennikowa po roku 1945, PWN, Warszawa — Łódź 1985, s. 115, cena 160 zł.

Poczta literacka

Stanisław J. Lublin. Za wcześnie cokolwiek wyrokować. Mimo układu graficznego wierszy przeczuwam w Panu przyszłego prozaika. Pańskie zamiłowania geograficzne i geologiczne mogą być w tym pomocne. Zapraszam po wakacjach z nowymi utworami.

Wiesław K. Lublin. Niektóre teksty nieco przegadane. Wydaje się jednak, że zrobił Pan spore postępy. Przyjdzie czas na debiut.

Andrzej Ch. Drohiczyn. Także u Pana zbliża się, jak sądzę, moment publikacji. Mam podobne zarzuty i taką samą pochwałę, jak dla Wiesława K. Przed wami jednak wielka, dalsza praca. Konieczna większa zwartość słowa, szukanie jego trafności.

Władysław S. Lublin. Waham się, czy aby mam prawo powiedzieć to, co niżej: Otóż wydaje mi się, że całkiem niefrasobliwie roztrwania Pan swe umiejętności. Chodzi mi nie tylko o nieokiełznane rozgadanie (słowa w przedstawionych wierszach płyną niczym nie hamowane). Jest Pan swobodny, nawet — jak na zamiary poetyckie — bardzo. W niektórych wersach ta śmiałość daje efekt dobry, najczęściej jednak czyni wrażenie, iż tylko dla epatowania ew. czytelnika, a nie dla dobra wiersza, użył Pan tzw. mocniejszego określenia. A więc zalecam umiar, choć nie całkowite zaniechanie dosadności. Ona, niekiedy, spełnia u Pana zamierzony cel. Wskazana jest rozmowa bezpośrednia.

Piotr M. Biłgoraj. Nadesłane wierszyki są miłe, ale dalekie od doskonałości. Zapewne zauważyłeś w sobotnim wydaniu „Sztandaru Ludu" z 31 maja br. wiersze Twoich rówieśnic i rówieśników, a nawet młodszych. Były bardzo udane. Powinieneś swoje do tamtych przyrównać, a wnioski nasuną się same. Wydaje mi się, że powinieneś nadal pisać, ale na razie tylko dla siebie i rodziny. Jeśli nie zaniedbasz dalszej nauki, za cztery lata przyślij znowu swoje wiersze.

TJ

Jerzy Putrament (1910-1986)

Obecny mimo odejścia

Jerzy Putrament nie żyje. Oto jedno ze zdań, które — będąc słuszne — nie mogą się przyjąć w świadomości, nie są w stanie pokonać pojęciowej bariery immunologicznej. Jest nie do wyobrażenia, że w życiu literackim nie istnieje ktoś, kto nie tylko był tegoż życia siłą napędową, ale nawet, kiedy nie inspirował, tkwił w środku, znajdował się w głównym nurcie wydarzeń. Trudno przyjąć, że odbędzie się konferencja literatów, w czasie której uczestnicy nie będą zbiegali do sali z kuluarów na wiadomość: „Uwaga, Putrament na mównicy", że w Związku Literatów powstanie kwestia, przy której nie padnie: „A co na to Putrament?". Przez tę wszędobylskość i nieustanną czynną obecność niektórzy zarzucali mu skłonności dyktatorskie. Tak, ale to był „dyktator", który w sprawie Gałczyńskiego, kiedy rozpętała się nań nagonka, jeden z niewielu zajął stanowisko przychylne wybitnemu poecie, „dyktator", który swoim autorytetem skutecznie wsparł ideę powojennego reaktywowania „Kameny" (gdzie zresztą w latach trzydziestych zamieszczał swe utwory poetyckie).

Zresztą do Lublina miał uczuciową skłonność z rzędu szczególnych. Na dwudziestopięciolecie powojennego życia literackiego w tym mieście lubelscy literaci zaprosili Juliana Przybosia jako pierwszego prezesa ZLP i jednego z uczestników „Polski lubelskiej". Przyboś z jakichś powodów nie mógł przyjechać. Jakże radosne było zdumienie organizatorów jubileuszowej uroczystości, kiedy, dowiedziawszy się o rezygnacji Przybosia, stwierdzili, że impreza nie będzie pozbawiona obecności przedstawiciela najwyższych władz związkowych: przyjechał Putrament.

Ten Lublin blisko serca nie bez powodu. Na dobrą sprawę to było miejsce Putramenta startu w literaturę. Wprawdzie formalnie jego debiut nastąpił zbiorem wierszy „Wczoraj powrót" już w roku 1935, kiedy autor należał do wileńskiej grupy poetyckiej „Żagary", ale wojna gruntownie zmieniła sytuację nie tylko społeczną, lecz i kulturalną w Polsce, więc wszystko co powojenne, stawało się od nowa, a ponadto pisarstwo poetyckie w wypadku tego autora było typowym juvenilium. Putrament w literaturze zapisał się przede wszystkim prozą, świetną i od pierwszego czytelniczego wejrzenia swoją własną. Sam żartobliwie mawiał, że początkowe pisanie wierszy to są krótkie spodenki, z których się wyrasta.

A więc nie można powiedzieć, że ten, kto z dywizją kościuszkowską w lipcu 44 stanął na ziemi lubelskiej jako kapitan i zastępca naczelnego redaktora „Rzeczypospolitej", to był ktoś powszechnie znany, jak np. Ważyk czy Jastrun. Tym bardziej zdumiewa rezultat tego tempa, nawet przyspieszenia, które przyniosło tyle powieści, zbiorów opowiadań, tak obfity („Pół wieku") dokument wspomnieniowy, zbiory felietonów i reportaży. A dodajmy, że to był nie tylko literat, a więc ktoś przede wszystkim nastawiony na pokrywanie słowami kartek papieru, ale również działacz polityczny, społeczny i związkowy, sekretarz generalny i wiceprezes ZLP, poseł Polski w Szwajcarii, ambasador w Paryżu, poseł na Sejm, członek KC PZPR. A nie było funkcji związanej z nazwiskiem Putramenta, którą by pełnił połowicznie i formalnie. Nawet jako prezes Polskiego Związku Szachowego oddał godne pamięci zasługi rozwojowi i powodzeniu tej organizacji.

O Borejszy powiedział, że był „człowiekiem na wyjątkowe sytuacje". Sam był na każdą. Budynek w Lublinie przy Krakowskim Przedmieściu 62, mieszcząc tyle osobowości „pekawuenowskich", utrzymał swoją atmosferę i charakter również przez obecność w nim Putramenta. Ale ten redaktor nie tkwił wyłącznie w swym gabinecie, a właściwie pokoiku. W tym samym budynku znajdowało się radio i „Odrodzenie", była „Wieś", placówka Polpressu i Spółdzielnia Oświatowo-Wydawnicza „Czytelnik". Musiał być wszędzie. To on grupkę młodych wówczas (czasie, opamiętaj się!) literatów lubelskich — Hartwiżanka, Kamieńska, Pleśniarowicz — przyjął w zastępstwie Kuryluka. I nieustannie do „Odrodzenia" zaglądał. Pamiętny jego artykuł „Odbudowa psychiczna", pamiętne opowiadanie „Święta kula". Na dobrą sprawę bardziej go obchodził tygodnik, w którym nie pełnił żadnej funkcji, niż dziennik, w którym był drugim po naczelnym.

Dziwne, ten autor, którego pisarskim emploi była powieść polityczna („Rzeczywistość", „Wrzesień", „Pasierbowie", „Puszcza"), dał tak wnikliwe, wprost przepojone liryzmem opisy przyrody, jakie spotykamy w „Trzynastym z Wesołka", „Arkadii", „Czarnych sosnach". Bez ryzyka można stwierdzić, że najlepsze we współczesnej literaturze, mimo Dygasińskiego i Weyssenhoffa. I co jeszcze: jakieś szacownie dziewiętnastowieczne pochodzenie tego realizmu. Przecież współczesny, przecież nasycony realiami ostatniej historycznej doby, ale mimo sąsiedztwa w czasie z eksperymentatorstwem — jakże nieraz tanim i powierzchownym — rzetelny, solidny, niezafałszowany. Na przykład „Bołdyn" — jak Wyka powiedział — opus magnum tego autora. Właściwie takiej partyzantki nie było. Nie było oddziału, który się mieścił w ziemiankach urządzonych luksusowo, w jednym stałym miejscu i w liczbie prowokującej jakiś niemiecki nalot, który kilkoma bombami skończyłby całą partyzancką epopeję owejże Awissy. Ale mimo to nie można powiedzieć, że rzecz w swej istocie jest naciągnięta. Prawda psychologiczna, moralna, humanistyczna została zachowana w całości. Czytelnik z łatwością odsuwa realistyczne akcydentalia i ma przedmiot zasadniczy: studium władzy, a raczej jak mówił sam Putrament, przeciążenie władzą. I właśnie uczciwe zmierzenie się z rzeczywistością było — a właściwie jest — cechą dominującą tego pisarstwa, tego pisarskiego dokumentu epoki.

Lublin. Zarówno w odczuciu świadków i czytelników, jak i samego Putramenta, był to etap — mimo że początkowy i krótkotrwały — jednak zasadniczy dla całej późniejszej drogi twórczej. Tu zakiełkowały te ziarna, które później wydały owoc w postaci tak obszernego ilościowo, tak zróżnicowanego tematycznie i stylistycznie pisarskiego dorobku. Zostaje on jako przedmiot refleksji badaczy i historyków. Jako przedmiot pamięci ludzi z jego otoczenia zostaje jego Autor, przez znaczenie i charakter swych dokonań zawsze obecny.

Zygmunt Mikulski

UCIEKINIER

Andrzej Twerdochlib

— GDZIE są wasze dzieci? — zapytał bratową Lewiński.

— Na kolonii. Co wolisz na kolację? Wędzonego węgorza, czy smażonego?

— Jednego i drugiego.

Do kuchni wszedł brat, kierownik ośrodka wczasowego. Objęli się i zamarkowali trzy pocałunki.

— Janka cię nakarmiła?

— Chciała, ale odmówiłem. Skorzystałem z bimbru. Sam pędzisz?

— Sam. Mam niezłą aparaturę.

Adam rozejrzał się za drugą szklanką, nalał po połowie.

— Za twój dobry pobyt.

— Dziękuję. Muszę odpocząć.

— Wszędzie cię pełno. W gazetach, radiu, telewizji. Ostro się wdałeś w politykę.

— Potępiasz?

— Skąd! Twoja sprawa. Tylko czasem zastanawiam się, po co ci to. Ministrem kultury chcesz zostać?

— Niech pan Bóg broni!

— Więc tylko dla idei?

— Zgadłeś.

— Nie wierzę...

Brat miał prawo nie wierzyć, to była jego prywatna sprawa, a Lewiński nie miał zwyczaju się tłumaczyć ze swojego postępowania.

— Nie chcesz, to nie wierz — powiedział obojętnie. — Jakie masz tu towarzystwo? Myślę o letnikach.

Zapytał, bo nie miał ochoty na nowe znajomości, na wyrazy szacunku choćby tylko w oczach ludzi, ani na wrogie spojrzenia spode łba.

— Różne. Trzy czwarte miejsc wykupiły zakłady dla swoich pracowników. Trochę prywatnych, których stać na wydanie tysiąca dziennie na twarz. Szczeniaki, które żrą chleb z pasztetową i nie kupują herbaty, tylko wrzątek z kuchni... Na pewno znajdzie się kilka osób, które cię znają.

— Ale ja ich nie znam. Żadnych zażyłości. I żebyś tylko nie wpadł na pomysł i urządzenie wieczoru w ramach spotkania z ciekawymi ludźmi. Bo ja wcale nie jestem ciekawy człowiek.

— W porządku.

— Jutro albo pojutrze kupię w geesie bat i będę walił na odlew.

— Dużo wypiłeś?

— Niech policzę... Z waszym bimbrem ze cztery setki.

— Więc słabo cię wzięło!

— Miałem długą przerwę, prawie roczną. Wieczorem będę pijany w sztok. Ale nie rozrabiam i nie przyniosę ci wstydu. Kiedy widzę, że mam za dużo promili, idę spać.

— Będziesz chciał łódkę, kajak, wędki?

— Nic jeszcze nie wiem. Nie jest wykluczone, że przez dwa tygodnie nie będę trzeźwiał.

— Aż tak źle?

— Tego się nie rozpatruje w kategoriach dobra i zła. Są to pojęcia metafizyczne i nie warto ich przypisywać do gorzały — rzekł z namaszczeniem Lewiński. Wypita wódka dała o sobie znać i zaczął teraz filozofować. — Dla mnie właśnie to może okazać się dobre. Za czternaście dni wchodzę w kierat. Nie wiem, czy nie rozsprzedam jutro twoim gościom całego zapasu wódki po dwieście złotych drożej na butelce. Że nie będę wstawał o czwartej rano i biegał boso po rosie. Albo czy nie będę wiosłował po osiem godzin dziennie. Nic jeszcze nie wiem.

Wchodzili obaj po schodkach na pięterko. Adam niósł walizkę, Lewiński torbę z wódką. Także spore kartonowe pudło. Weszli obaj do pokoiku, gdzie gość miał mieszkać. Szafa, kanapa, stół, dwa krzesła i jeden miękki fotel.

— Dobrze ci tu będzie? — zapytał Adam, stawiając walizkę na podłodze. — Jak widzisz, żadnych luksusów.

— Luksusy to ja mam, jak wyjeżdżam za granicę i ładują mnie do najlepszego apartamentu. Albo jak jadę do Warszawy, gdzie lokują do pięciogwiazdkowego „Wera", gdzie szklanka podłej herbaty kosztuje siedem dych. Albo jak jadę do Moskwy, siedzę w przeszklonym barku hotelu „Rossija", sączę koniak, a za oknami Kreml.

— Wielki z ciebie człowiek — powiedział Adam z ironią, a Lewiński spojrzał na brata nieprzyjaźnie.

— Już mi to wytknęła twoja małżonka. Z tobą też chciałbym uzgodnić, że wyrzucamy ten temat.

— Rozumiem cię.

— Słuchaj, brat — powiedział powoli Lewiński. — Nie wiem, czy mnie rozumiesz, czy nie. Tematu zupełnie nie wyrzucimy, dopóki mnie nie zapytasz, co mam obecnie na warsztacie. Narazisz mi się.

— A co masz obecnie na warsztacie?

— Rozpakowanie się i krótką drzemkę.

— Chcesz przenośny telewizor?

— Nie chcę. Nie chcę też tranzystorowego radia. Chowaj przede mną gazety.

— Ty się nigdy nie uśmiechasz?

— Nigdy... A jeżeli już, to tylko wewnętrznie.

— Dobra — powiedział Adam. — Rozpakuj się, rozgość zdrzemnij. Muszę trochę popracować.

— Każdy musi. Choćby trochę.

Adam wyszedł. Lewiński otworzył walizkę, porozwieszał i porozkładał swoją dość skromną garderobę. Potem ściągnął welwetowe spodnie, odwinął mokre nogawki. Był tylko w spodenkach kąpielowych. Wyciągnął z torby całą baterię „Wyborowej". Ustawił na dole szafy w równym rządku. Położył się na kanapie i przykrył cienkim kocem.

Nie mógł zasnąć, chociaż tego dnia wstał o czwartej rano i miał za sobą ponad czterysta kilometrów za kółkiem. Naprawdopodobniej było to działanie

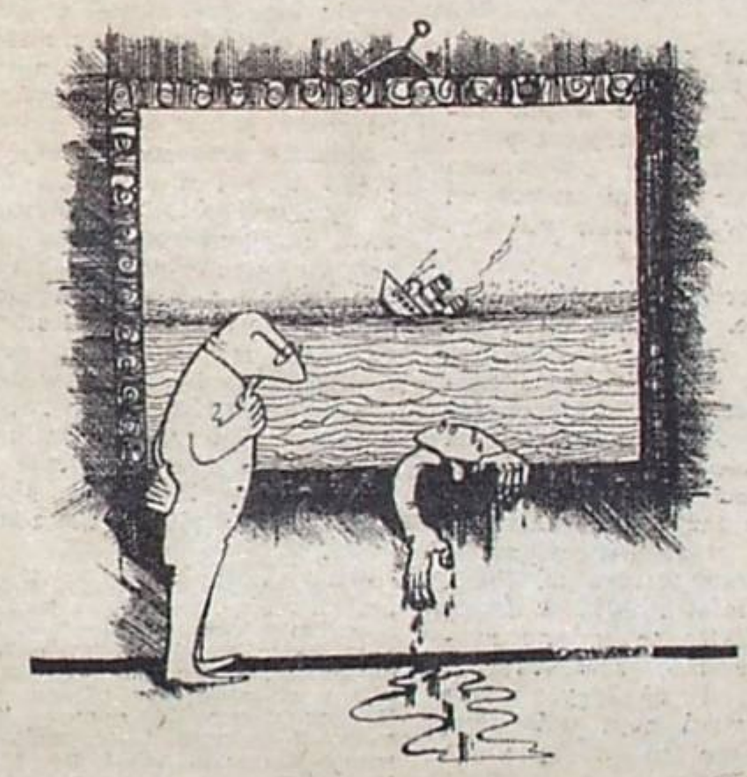

Rys. Zbigniew Ciepluch

wódki. Leżał i o niczym nie myślał. Jeszcze kilka dni temu po dziesięć godzin przesiadywał przy maszynie do pisania, kładł się o trzeciej w nocy i przez dwie godziny sen nie przychodził. Rok temu zaszył sobie esperal, bo zaczął mieć tygodniowe serialiki, po nich trzy dni kaca, a pracy nie ubywało. Więc ten kaganiec na pysk. Przez dwa miesiące czuł się jak kastrat, pisał jakieś michałki, potem mógł znów intensywnie robić. Trzy dni temu odesłał trzysta osiemdziesiąt stron powieści. Teraz mógł sobie pozwolić na leżenie pod kocem i marzyć, kiedy zaśnie. Ostatnie lata silniejszego zwaliłyby z nóg. Podpisywał wszystkie umowy, brał wszystkie wadia konkursowe, miał cotygodniowy felieton, robił większe artykuły publicystyczne. Jeszcze do tego społeczna i partyjna działalność. Nie chciało mu się liczyć ile ma funkcji i obowiązków. Wybrali go nawet do komitetu osiedlowego, ale po pół roku zrezygnowali z jego usług, bo nie robił literalnie nic.

Następnego dnia wszyscy troje jedli śniadanie w kuchni. Jajecznica, cienka herbata, chleb z masłem.

— Masz kaca? — zapytał Adam.

— Już zaklinowałem. Ale, jak widzisz, apetyt mi dopisuje.

— Co będziesz dziś robił?

— Idę na łódkę.

— Zwróć uwagę na pomocnika przystaniowego. Student polonistyki, który sobie dorabia w wakacje. Pierwszy, który cię tu rozpoznał. Pytał o ciebie.

— Jakiej treści były te pytania? — zapytał Lewiński. Wytarł talerz skórką chleba i sięgnął po herbatę. — Nie musisz dokładnie relacjonować. Przedstaw myśl przewodnią.

— Czy zechciałbyć z nim porozmawiać.

— A jaka była twoja odpowiedź?

— Żeby sam się zapytał.

— Nie mógłbyś go wylać? W ciągu godziny spiję szczeniaka, ty go przyłapiesz rzygającego i dyscyplinarka.

— On nie pije.

— Wypije, jak ja mu każę.

— Wiktor, to żadna metoda. Odmówisz i powiesz, żeby się od ciebie odczepił.

— Masz rację. O której otwierają geesa? Chodzi o ten bat, wiesz?

Ubrany w spodnie od dresu i koszulkę gimnastyczną szedł w stronę hangaru. Na głowie miał furażerkę-pierożek, pamiątkę po dziadku.

Była z białego, żaglowego płótna. Niósł ortalionową siatkę, w której pobrzękiwały butelki.

W hangarze panował ogromny bałagan. Walały się wiosła, kapoki, koła ratunkowe, jakieś liny. Za stolikiem siedział przystaniowy. Starszy mężczyzna, który niewątpliwie skonsumował w życiu dużo alkoholu. Świadczył o tym fioletowy nos i rozbiegane oczka. Dziś też, mimo wczesnej pory, jechało od niego wódką.

— Znajdzie się jeszcze łódka? — zapytał Lewiński.

— Szef kazał zatrzymać dla pana.

Student polonistyki wybrał wiosła i w miarę czysty kapok. Kiedy Lewiński wszedł na pomost, chłopak odpiął łódkę z łańcucha i włożył wiosła do dulek. Lewiński wszedł do kiwającej się łódki, wciągnął łańcuch do środka.

— Przepraszam, czy pan Wiktor Lewiński? — zapytał tamten. Był wyraźnie onieśmielony. Lewiński odczekał chwilę, ułożył na dnie siatkę.

— Młody człowieku — powiedział powoli. — Brat mi już o panu wspominał. Nie będę z panem gadał. I żeby nie wypaść na ostatniego chama i bufona, krótko wyjaśnię dlaczego. Dzieli nas co najmniej trzydzieści lat. Nie wiem, ile to jest pokoleń literackich, ale ileś tam pewnie jest... Na swojej profesji zjadłem zęby, a pan raczkuje. Żadne dyskusje o literaturze nie pomogą ani panu, ani mnie. Wiersze pan pisze, czy prozę?

— Jednak zaczął pan rozmowę ze mną. Piszę prozę, wydrukowałem trzy opowiadania.

— To się chwali. A rozmawiam z panem, ponieważ jestem już na lekkim gazie. Niemniej podtrzymuję to, co powiedziałem. Zaledwie zresztą zacząłem z panem rozmawiać, ale bolsze niczewo. Będzie pan łaskaw odepchnąć łódkę od pomostu?

Chłopak zrobił to bez słowa. Lewiński ujął wiosła, poprawił się na ławeczce. Kiedyś umiał nieźle wiosłować, ale teraz nie bardzo szło. Jeszcze to podwodne zielsko przylepiające się do wioseł.

Poczuł się głupio, że chłopak patrzy na poruszającą się zygzakami łódkę. Niemniej skupił się i wiosła zaczęły pracować lepiej.

Odpłynął sto metrów od brzegu, puścił łódź w dryf. Zdjął spodnie, pozostał w spodenkach kąpielowych, koszulce i furażerce po dziadku. Skórę miał białą jak przysłowiowy piekarz. Sięgnął do siatki, otworzył butelkę coli, wyjął półlitrówkę i szklankę, zrobił sobie koktajl. Łódka dryfowała w stronę środka jeziora, wiatr był bardzo słaby, słońce piekło. Nociągnął głębiej biały pierożek. Wypił pół szklanki.

Nie myśleć. O niczym. Po to tu przyjechał. Nie myśleć. Nie zastanawiać się nad niczym, nawet nad tym, czy powinien przyjechać właśnie tutaj, czy wyskoczyć gdzieś za granicę. Do trzydziestego września trzeba odesłać konkursowe słuchowisko, bo inaczej trzydzieści tysięcy wadium wyleci z kieszeni. Wadia mają ten feler, że trzeba je zwracać. Puści to słuchowisko, zrobi lewą ręką, odeśle w terminie, a wadium nie zwróci. Nie miał jeszcze nawet pomysłu, ale mógł przecież wyciągnąć jakieś swoje opowiadanie sprzed dwudziestu lat i przerobić w trzy dni.

Nie myśleć. Sięgnął po szklankę i wypił do dna. Natychmiast spreparował sobie następny koktajl. Doskonale wiedział, że to oszustwo i ucieczka przed myślami, ale przecież właśnie po to pił. Zjadł kanapkę, zapalił papierosa i ujął wiosła. Po dziesięciu minutach dostał zadyszki. Znów odłożył wiosła. Trzeci koktajl. Otępienie narastało i było to uczucie miłe. Kanapka, pomidor, papieros.

Kiedy wrócił, hangar był zamknięty, ale chłopak siedział na pomoście, jak gdyby czekał na Lewińskiego.

— Przystaniowego nie ma — powiedział. — Ale ja wezmę wiosła, kapok i klucz od kłódki.

— Niech się pan nie poniża.

— Nie poniżam się, tylko wypełniam swoje obowiązki.

— Fajnie. Łap pan łańcuch.

Chłopak przewlókł łańcuch przez kółko przykręcone do pomostu, zatrzasnął kłódkę. Lewiński podał mu wiosła, wziął siatkę i nieco się chwiejąc wylazł na pomost. Nie wypił całej półlitrówki, ale prawie. Za to zjadł wszystkie kanapki, które Janina przygotowała mu przed wyjściem i pięć pomidorów. Na pomoście nogi mu się trochę plątały, ale nie na tyle, żeby wpadł do wody. Słońce, powietrze, trochę wiosłowania i na dodatek wódka. Był zupełnie bez kondycji.

— Teraz też pan ze mną nie porozmawia? — zapytał chłopak.

— Co to znaczy: też i teraz?

— No, kiedy pan jest pod większym gazem niż rano, to może...

— Nie wytyka się takich rzeczy osobom dorosłym — rzekł z godnością Lewiński — Do zobaczenia po południu!

(Fragment dłuższego opowiadania, które ukaże się w zbiorze nakładem PIW).

— 9 —

„Kocia robota"

Feliks Kępa

PO ZDOBYCIU przez nas Monte Freddo, jeszcze do końca tego dnia, 9 lipca 1944 r., Niemcy kilkakrotnie usiłowali odbić to ważne dla nich wzgórze. Nic z tego jednak nie wyszło, tkwiliśmy mocno na swych nowych pozycjach. Przed wieczorem dali jakby wreszcie za wygraną.

Tymczasem nadciągała noc. Po zapadnięciu zmroku przesunąłem obydwa plutony nieco do tyłu na przeciwny stok Monte Freddo; w oparciu o murowane „contadino", winnicę i pola kukurydzy stworzyłem punkt obronny na wszystkie strony, tzw. „jeża", pozostawiwszy jedynie kilka czujek na dziennych stanowiskach jako „dzwonki alarmowe" w wypadku jakiejś akcji ze strony nieprzyjaciela. Szef kompanii, sierżant Stramczewski, dostarczył nam zasłużoną kolację, którą zjedliśmy, kolejno, pod osłoną zdobytych zabudowań gospodarskich. W kompanii panowała radość, poczucie pewności siebie, zadowolenia z dobrze wykonanego zadania. Słowem — duch był wspaniały.

Wszystko „grało". Odbywała się regularna zmiana czujek; prawo do snu w oborach „contadino" mieli tylko ci, którzy zeszli właśnie z wysuniętych stanowisk obserwacyjnych, reszta żołnierzy czuwała. Ja sam na zmianę z moim zastępcą, podporucznikiem Edwardem Zalewskim, obchodziliśmy przez całą noc „jeża", sprawdzając, czy wszystko w porządku. Przez tę noc nękał nas, raczej dość rzadki, ogień niemieckiej artylerii, bardziej przenoszony zresztą na rejon Villa Virginia, gdzie siedzieli już Ułani Karpaccy ze swoimi wozami bojowymi. Jeśli chodzi o naszych artylerzystów, to porucznik Łuczyński, zastępca dowódcy 1 dyonu 3 Karpackiego PAL-u, biorący — jak pamiętamy — wraz z nami udział w zdobywaniu Monte Freddo, już w ciągu minionego dnia ustalił wraz ze swym zespołem obserwacyjnym, radiowym i telefonicznym — ognie zaporowe na nasze przedpole oraz ognie nękające na świeżo zaobserwowane obronne stanowiska niemieckie. W ciągu naszego dziesięciodniowego pobytu na Monte Freddo, na punkcie obserwacyjnym dowodzonym przez por. Łuczyńskiego mieli pełnić służbę artyleryjską, zmieniający się kolejno, podchorążowie: Ryszard Plesner, Bolesław Molendowski, Dawid Szenwic i Dąbrowski...

Przed samym świtem 10 lipca Niemcy skrócili nieco swój ogień nękający i macnęli po stanowiskach 2 plutonu podchor. Hodura, raniąc dowódcę drużyny saperskiej, kaprala podchorążego Przybyszewskiego. Zabrany na noszach do bantama (jeepa) sanitarnego i przewieziony nim na punkt opatrunkowy Pułku Ułanów Karpackich, został, niestety, ewakuowany stamtąd do szpitala. A my... zabraliśmy się do jedzenia dostarczonego właśnie przez kucharzy śniadania. Tak wygląda proza wojny.

W niedługi czas później podchor. Hodur podesłał mi dwóch jeńców. Niemcy, którym już widać wojna dostatecznie obrzydła, korzystając z płynnej sytuacji, poddali się żołnierzom Hodura, powiewając białymi szmatami za swego ukrycia w zaroślach winnicy.

Rozległy się pierwsze detonacje po niemieckiej stronie. To nasz obserwator artyleryjski, młody podchorąży, wstrzeliwał się na nowo odkryte niemieckie stanowiska w rejonie zabudowań w Il Coppo na południowych stokach Monte Colombo, oraz na położone w lewo od nas wzgórze La Montagnola. Zaraz też w ów słoneczny poranek 10 lipca podzieliliśmy się z moim zastępcą służbą czuwania. Ppor. Edward Zalewski miał czuwać w dzień, ja w nocy. Stanowiło to jedyne rozwiązanie, jako że mój zastępca był krótkowidzem, nosił okulary, nocne czuwanie byłoby dlań zbyt uciążliwe, a nawet ryzykowne ze względu na bezpieczeństwo kompanii.

Zanim zdążyłem złożyć swoje „zwłoki" na przygotowane przez mojego gońca, Michała Stachnika, łoże (łóżko polowe ze zdobyczną poduchą) w dolnej kondygnacji „contadina", zameldowano mi, że dróżką wśród krzaków ciągnie do nas od strony Villa Virginia „Nostro Maglore Commandos" — major Władysław Smrokowski. Szedł wraz z nim mjr Zdzisław Tołudziecki, dowódca 1 dyonu 3 Karpackiego PAL-u. Wysłuchałem krótkich gratulacji, a później zaczęło się zwiedzanie wczorajszego pola bitwy. Z konieczności towarzyszyłem im, choć wcale nie byłem z tego zadowolony, bo po nieprzespanej już drugiej nocy oczy same mi się zamykały. Zbyt długie spacerowanie naszej trójki po Monte Freddo zgniewało w końcu niemieckiego obserwatora artyleryjskiego w Camerano: posłał nam serię pocisków, które wpędziły obydwu majorów oraz mnie do poniemieckich szczelin przeciwpancernych; ogień niemiecki był bardzo celny, pociski wybuchały w naszej bezpośredniej bliskości. Na tym „zwiedzanie" zakończyło się i po ustaniu „gniewnego" niemieckiego ognia moi goście, życząc mi szczęścia („good luck"), wrócili do Villa Virginia. A ja nareszcie mogłem paść na swoje legowisko. Jak się później dowiedziałem, Villa Virginia odwiedził tego dnia sam dowódca 3 dywizji Strzelców Karpackich, generał Duch, i złożył gratulacje „Bławatom" (pod takim kryptonimem działało Zgrupowanie Commando) za udany wypad na Monte Freddo.

Teraz sytuacja — dla nas, siedzących na Monte Freddo, dla reszty Zgrupowania, a także dla Pułku Ułanów Karpackich — była o tyle korzystniejsza, że Niemcy stracili możność zaglądania nam do naszych misek i menażek. Życie polowe za zasłoną zdobytego wzgórza stało się dla wszystkich znośniejsze, można się było bezpiecznie poruszać, nie będąc pod stałą, bezpośrednią obserwacją nieprzyjaciela. Dlatego nawet zaopatrzenie, także i pierwszej linii, nie przedstawiało większego problemu również w biały dzień.

Cały 10 lipca i noc, która po nim nastąpiła, minęły dość spokojnie; tyle, że Niemcy coraz celniej obramowywali swym ogniem nasze pozycje obronne. Nasza artyleria też zresztą nie próżnowała. Poza ogniem nękającym rąbała krótkie nawały ogniowe na wypatrzone przez obserwatorów nieprzyjacielskie umocnienie. My sami zaś w ciągu tego i następnych dni urządzaliśmy „polowania" na Niemców z udziałem naszych strzelców wyborowych zaopatrzonych w karabiny z lunetą. Szczególnie dokładny wgląd w pozycje niemieckie mieliśmy na stanowiska rozciągające się za drogą prowadzącą z Il Coppo do Numany; widzieliśmy tam dosłownie każdy ruch Niemców. Podchorąży Hodur bezustannie obserwował znajdujące się wciąż w niemieckich rękach Il Coppo, planując mały „patrolik" (1 plus 2) dla zdobycia jeńca.

Wracając do artylerii: robienie dużego „ruchu i zamieszania" na tym właśnie, nadmorskim odcinku frontu było zgodne z planem mylenia przeciwnika, nakazanym przez dowództwo 2 Korpusu. Cel ów został osiągnięty: w rejon na północ od Camerano Niemcy przerzucili znaczną ilość artylerii, co w konsekwencji odciążyło główne uderzenie Korpusu, idące na Ankonę lewym skrzydłem.

W czasie też ożywionej działalności na naszym odcinku przybył na Monte Freddo dowódca dywizjonu ciężkiej artylerii przeciwlotniczej. Anglik w stopniu majora, który zamierzał użyć swych dział na wskazane cele na Monte Conero i Sirolo, gdzie zaobserwowaliśmy ruch niemieckich pojazdów na dobrze widocznych drogach.

Nigdy nie zapomnę strzelania tej artylerii ponad naszymi głowami. Słuchowo było to coś tak przerażającego, że zakrywaliśmy uszy rękami. Potworny świst i huk przelatujących, a potem rozrywających się pocisków zmuszał niektórych nawet do odruchowego dość zabawnego przysiadnia lub wręcz tulenia się do matki-ziemi.

Wieczorem 12 lipca zgłosił się do mnie podchor. Hodur, prosząc o wyrażenie zgody na planowany „patrolik". Siedząc od kilku dni każdy ruch Niemców w Il Coppo, ustalił dokładnie ich stanowiska oraz miejsce, gdzie wystawiają na noc czujkę. Miał zamiar właśnie tę czujkę „zdjąć" i doprowadzić na nasze pozycje. Zapoznawszy się z jego planem, zgodziłem się. Ustaliliśmy z obserwatorem artyleryjskim, podchor. Ryszardem Plesnerem, sygnały i czuwanie ogniowe naszej artylerii nad „cichą robotą" podchor. Hodura i dwóch towarzyszących mu żołnierzy. Miała to być zresztą nie tylko c i c h a, ale i wręcz „kocia robota".

Mimo niezbyt dużej odległości dzielącej nas od nieprzyjaciela Hodur „przepadł" wraz ze swymi ludźmi w rozciągającej się w koło ciemności na ponad trzy godziny... Panowała przez ten cały czas absolutna cisza. W tej wielkiej ciszy sterczeliśmy w pogotowiu wraz z podchor. Plesnerem — którego działa w każdej sekundzie mogłyby osłonić swym ogniem „robotę" Hodura — nasłuchując i starając się dojrzeć cokolwiek na kierunku Il Coppo. I nagle bezszelestnie z ciemności wyłonił Adaś Hodur, prowadząc upolowanego Niemca. Jak tego dokonał, to jego tajemnica. Żelazne nerwy, upór i niespotykana odwaga. Czołgali się do celu ostatnie 200 metrów cal po calu; najmniejszy szmer lub gwałtowniejszy ruch mógł się dla nich skończyć śmiercią. Ani Niemiec-„bidaka" nie pisnął, gdy poczuł na swoim gardle silne łapy Hodura. Była to naprawdę k o c i a robota! Bo przecież ta cisza, w którą tak się wsłuchiwałem, ten spokój, jakby się w ogóle nic nie działo...

Dzień 13, noc oraz dzień 14 lipca upłynęły na normalnej służbie obserwacyjnej, działaniu artylerii polskiej i „polowaniu" z karabinem zaopatrzonym w lunetę. Nasz Anglik z artylerii p-lot. posłał jeszcze kilka ogłuszających nawał po drogach na Monte Conero i Sirolo.

Dotychczasowe sukcesy na Monte Freddo, przy tak minimalnych stratach własnych, poderwały dyscyplinę frontową prawie u wszystkich moich żołnierzy, włącznie z polską kadrą. Można było zaobserwować dziwne zjawisko — l e k c e w a ż e n i a p r z e c i w n i k a, przy upojeniu się własną siłą i zdobyczami. Mieliśmy się rychło przekonać, do czego może to prowadzić...

Do druku przygotował:

Mirosław Derecki

Z dr. inż. Armandem Dregerem w Polonijnym Centrum UMCS

— Przy końcu maja br. złożył pan wraz z małżonką, panią Jolantą, kolejną wizytę w Polonijnym Centrum Kulturalno-Oświatowym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej i Towarzystwa „Polonia" w Lublinie. Jest to zarazem pierwsza wizyta w Centrum tuż po otrzymaniu dyplomu doktorskiego...

— 24 maja w Politechnice Łódzkiej — jestem rodowitym łodzianinem i kocham Łódź, którą nazywam „moim miastem" — odebrałem mój dyplom doktora nauk technicz- [illegible] małą przyjemność. Byłbym jednak szczęśliwszy i bardziej usatysfakcjonowany, gdyby wręczony mi dokument zawierał też ministerialne poświadczenie jego wiarygodności, dopiero bowiem wtedy, i po dokonaniu przekładu tekstu dyplomu przez przysięgłych tłumaczy na języki obce, zyskuje on walor ważności poza granicami Polski. Ufam, iż wkrótce już z takim wszędzie respektowanym dyplomem powrócę do miasta mego osiedlenia, Mannheim, w Republice Federalnej Niemiec i wówczas moje samopoczucie ulegnie poprawie.

— Dotychczas był i jest pan znany w Lublinie przede wszystkim jako nauczyciel polonijny z RFN. Trzynasty rok prowadzi pan Szkołę Polonijną w Mannheim przy Gromadzie 84 Związku Polaków „Zgoda" w RFN. Od kilku lat pomaga panu w tym dziele starszy syn, Paweł, student drugiego roku budowy maszyn Wyższej Szkoły Technicznej w Giessen (Hesja), który zresztą w lipcu—sierpniu 1985 r. był słuchaczem Studium Metodyki Języka Polskiego dla Nauczycieli Polonijnych w Lublinie. Czy ostatnio nic się zmieniło się w pańskim czynnym życiu na obczyźnie?

— Niezupełnie nic. Oczywiście, nadal jestem kierownikiem i jednocześnie nauczycielem Szkoły Polonijnej w Mannheim. 22 marca br. razem z żoną zostaliśmy współzałożycielami Polskiego Koła Olimpijskiego Oddział II w Viernheim (około 15 km na wschód od Mannheim). Wybrano nas też do jego władz: mnie na wiceprezesa, a żonę na przewodniczącą komisji rewizyjnej. Oboje mamy nadzieję, iż ta praca może być wielce pożyteczna. Są to jeszcze nieśmiałe początki, ale energiczny prezes naszego Oddziału PKOL, p. Leopold Woźniak z Mannheim, już poinformował o tej inicjatywie Polski Komitet Olimpijski w Warszawie i tym samym nawiązaliśmy współpracę. O tej sferze mojej działalności poinformowałem dyrektora Polonijnego Centrum, doc. dr. hab. Władysława Kucharskiego, od dawna badającego złożone problemy zbiorowości etnicznej m. in. w RFN.

— Czy w czasie dwudniowego pobytu w Lublinie miał pan i inne spotkania?

— Tak. Rozmawiałem z redaktorem naczelnym kwartalnika dla nauczycieli szkół polonijnych „Wiselka", adiunktem UMCS dr Barbarą Jedynak. W trakcie wymiany poglądów, dotyczących oświaty polonijnej w RFN, położyłem m.in. akcent na tym, co specyficzne dla mojej szkoły w Mannheim, a mianowicie, że uczę w niej nie tylko języka polskiego (z czego korzystają też Niemcy bez polskiego rodowodu), lecz również języka niemieckiego, którym przecież nie wszyscy przynależeni do Polonii w RFN władają. Wydaje się możliwe, że i z tego powodu w ostatnim czasie daje się zauważyć pewne zainteresowanie Szkołą Polonijną w Mannheim ze strony przedstawicieli najświeższej daty imigrantów z Polski. A periodyk „Wiselka" to dla mnie duża pomoc dydaktyczna, zarówno w nauczaniu języka polskiego, jak historii i kultury polskiej na obczyźnie.

Fot. Robert Lipski

— Najistotniejszy efekt pańskiego majowego pobytu w Polonijnym Centrum?

— Oprócz nader miłych doznań ze spotkań oficjalnych i towarzyskich wywożę też z Lublina zakupione — dzięki skutecznym staraniom Polonijnego Centrum — podręczniki: „Zaczynam mówić po polsku Polnisch für Anfänger" autorstwa Stanisława Karolaka i Danuty Wasilewskiej (PWN, Warszawa 1985), które sprezentuję słuchaczom mojej Szkoły Polonijnej.

— Najbliższe plany?

— W Warszawie spotkam się z kierownikami redakcji audycji Polskiego Radia dla Polaków i Polonii za granicą oraz Klubu Słuchacza „Radio Polonia". Wiele dobrego mam im do zawdzięczenia. Zamierzam też wspólnie z żoną odwiedzić i poznać osobiście niektórych naszych korespondentów — polskich nauczycieli. Otóż tak się złożyło, że artykuły na mój temat, opublikowane w latach 1984—1985 na łamach „Głosu Nauczycielskiego", wywołały rezonans w postaci listów czytelników, kierowanych pod moim adresem do Mannheim. Chcemy złożyć wizyty wybranym nadawcom tych korespondencji.

Rozmawiał:

Marek Zdrojewski

LUBLIN 1569

Fragment dziedzińca Zamku Lubelskiego

Adam Andrzej Witusik

UNIA lubelska 1569 r. była trzecią z kolei unią zawartą między Polską a Wielkim Księstwem Litewskim. Pierwszą wynegocjowano w Krewie w 1385 r., drugą — w Horodle nad Bugiem w 1413 r.; obie one były uniami personalnymi, tzn. Polskę i Litwę łączyła tylko osoba monarchy. Teraz, kiedy trzy kolejne żony ostatniego męskiego potomka domu Jagiellonów, króla polskiego i wielkiego księcia litewskiego Zygmunta II Augusta nie dały mu upragnionego potomka i dynastia wygasała — istniała pilna potrzeba zawarcia ściślejszej unii, trwalszego złączenia obydwu państw. Dokonał tego sejm z r. 1569.

Pamiętny sejm lubelski, zwołany na 23 grudnia 1568 r., rozpoczął obrady z opóźnieniem — 10 stycznia 1569 r., dodajmy, obrady trudne, twarde, skomplikowane, wymagające od uczestników wielkiej kultury politycznej, rozsądku, cierpliwości i rozwagi. Zbyt duże były bowiem różnice między obu narodami, etnicznie przecież sobie obcymi, zbyt silnie odczuwali Litwini przewagę polską, aby nie chcieli chronić własnej odrębności politycznej. Niemniej, niezależnie od tych meandrów, droga do zacieśnienia związku między obu państwami była od czasu unii horodelskiej 1413 r. wyraźna.

Walka z Zakonem Krzyżackim, który okupując Pomorze Gdańskie w latach 1309—1466 blokował Polsce dostęp do Bałtyku, a przez stałe dążenie do zaboru Żmudzi szykował ten sam los Litwie, stanowić musiała naturalny cel polityki obydwu państw łączących swe siły przeciw wspólnemu wrogowi. Jednocześnie związek z Polską miał ułatwić Litwie utrzymanie panowania nad zagarniętymi przez przodków Jagiełły — Mendoga, Giedymina i Olgierda — ruskimi terenami.

Cios zadany Litwie w 1514 r. — zajęcie Smoleńska przez wielkiego księcia moskiewskiego Wasyla III — ożywił ideę unii. Sprawę zacieśnienia związku między Koroną Królestwa Polskiego a Wielkim Księstwem Litewskim postawił też od strony polskiej obóz egzekucji praw, domagając się wypełnienia obowiązujących a dotąd nie zrealizowanych postanowień układów polsko-litewskich, z porozumieniem krewskim 1385 r. na czele, zakładającym wcielenie Litwy do Polski. W tym duchu wypowiadano się na sejmie piotrkowskim 1547/48 i nie było odtąd sejmu, na którym by nie poruszano tej sprawy. Program egzekucji praw, który postulował realizację inkorporacji Wielkiego Księstwa, był dla strony litewskiej nie do zaakceptowania. Niektórzy posłowie stronnictwa egzekucyjnego zajmowali nawet tak krańcowe stanowisko w sprawie inkorporacji, iż proponowali usunąć nazwę Litwa i zastąpić ją nazwą Nowa Polska. Unia doszła do skutku, gdy program maksymalistów został zredukowany do kompromisowego programu opartej na zasadzie równości stron unii realnej. Wspólny król, wspólna obrona, wspólne sejmowanie — ten umiarkowany program unii głosił między innymi poeta i polityk szlachecki Mikołaj Rej. Stwierdzał:

Dosyć by nam, abychmy zawżdy społu byli,
Jednemu wiernie panu na wieki służyli,
Społu go obierali i koronowali
I jednaką przysięgę od niego bierali,
Spólnie nieprzyjaciołom wszytkim się bronili
Tak, jako bychmy spólnie sobie urządzili.

Przebieg obrad sejmu lubelskiego był burzliwy, po przełamaniu oporu posłów-egzekucjonistów z posłami województwa krakowskiego na czele, którzy żądali egzekucji poprzednio zawartych umów a nie rokowań, po spacyfikowaniu separatystycznych postaw możnowładztwa litewskiego — wynegocjowano wreszcie pod koniec czerwca 1569 r. ostateczny tekst aktu unii, którą uroczyście zaprzysiężono dnia 1 lipca.

Ważne dzieło blisko sześciomiesięcznych obrad było więc dokonane. Zaprzysiężony dokument unii głosił: „Oznajmujemy tym to listem naszym wszem ninie i na potem będącym ludziom, do których jeno wiadomości ten list nasz przyjdzie, iż my [...], zjechawszy się na ten sejm spólny do Lublina na dzień 23 miesiąca grudnia w roku przeszłym 1568, przez JKMść za zezwoleniem oboich rad polskich i litewskich złożony i do tego czasu jednostajnie dzierżony i kontynuowany, takieśmy niżej opisane traktaty i namowy między sobą uczynili [...]. Iż już Królestwo Polskie i Wielkiej Księstwo Litewskie jest jedno nierozdzielne i nieróżne ciało, a także nieróżna, ale jedna spólna Rzeczpospolita, która się z dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła. A temu obojemu narodowi, żeby już wiecznymi czasy jedna głowa, jeden pan i jeden król spólny rozkazował, który spólnymi głosy od Polaków i od Litwy obran, a miejsce obierania w Polsce, a potem na Królestwo Polskie pomazan i koronowan w Krakowie będzie [...]. Przy obieraniu i koronacjej ma być zaraz obwołan królem polskim i tenże wielkim książęciem litewskim, ruskim, pruskim, mazowieckim, żmudzkim, kijowskim, wołyńskim, podlaskim, inflanckim [...]. A przy koronacjej nowego króla mają być przez króla koronowanego poprzysiężone i zaraz konfirmowane na jednym liście i jednymi słowy na wieczne czasy prawa, przywileje i wolności poddanych wszystkich obojga narodów i państw tak złączonych. Sejmy i rady ten oboi naród ma zawżdy mieć spólne koronne pod królem polskim, panem swym".

Wspólna miała być również polityka zagraniczna, a także moneta, ale bita osobno w każdym z państw pod jego stemplem. Utrzymano natomiast odrębność administracji oraz skarbu, wojska i sądownictwa. Zniesiono istniejące dotąd ograniczenia w zakresie nabywania własności ziemskiej przez szlachtę z Korony na Litwie, a przez szlachtę litewską w Koronie. Szlachta polska i litewska mogła teraz na terenie obu krajów swobodnie nabywać dobra i osiedlać się. Akt unii stwierdzał, że Wielkie Księstwo Litewskie pozostaje „przy tytule, dostojeństwie i urządzeniach wszystkich i zacności stanów", co podkreślało, że w ramach zunizowanej Rzeczypospolitej zachowuje swoją osobowość polityczną. Sejm lubelski stworzył zatem w postaci szlacheckiej Rzeczypospolitej

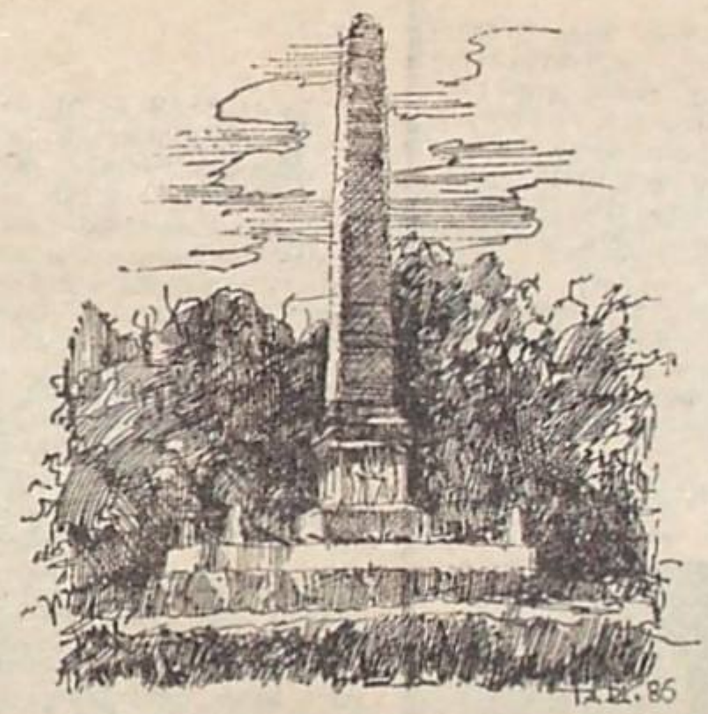

Pomnik Unii Lubelskiej

federację złożoną z dwóch równoprawnych członków: Korony Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, a podstawą prawną tej federacji była unia realna oparta na wspólności nie tylko władzy, ale i instytucji.

W wyniku unii lubelskiej powstał stosunkowo jednolity organizm państwowy, rozległością swoją w Europie ustępujący tylko Rosji. Polska i Litwa, wliczając sporne terytoria Inflant, obejmowały powyżej 800 tys. km kw. Zamieszkiwała je pokaźna, jak na XVI w., liczba mieszkańców, wynosząca zapewne powyżej 8 mln. Aby te liczby przemówiły do naszej wyobraźni inaczej, to zauważmy, że to mniej niż jedna czwarta zaludnienia Polski dzisiejszej przy prawie trzykrotnie większym obszarze. Jedynie nieco ponad 20 proc. obszaru Rzeczypospolitej zajęte było przez ludność etnicznie polską, stanowiącą około 40 proc. całego zaludnienia. Drugie miejsce — ponad 20 proc. wszystkich mieszkańców — zajmowała ludność ruska: Białorusini, Ukraińcy i Rosjanie. W Rzeczypospolitej mieszkało ponadto kilkanaście procent Litwinów, powyżej 10 proc. Niemców (w tym około 6 proc. ludności przypadało na lenno pruskie i Inflanty), około 5 proc. Żydów. Na resztę składali się Ormianie, Szkoci, Łotysze, Tatarzy i inne drobniejsze grupy etniczne. W skład państwa wchodziły także lenna: Prus Książęcych, Kurlandii, Lęborka i Bytowa. Poza granicami Rzeczypospolitej znajdował się Śląsk, na którym mieszkało około miliona ludności polskiej, oraz Pomorze Zachodnie.

Przez cały półroczny czas trwania sejmu lubelskiego król Zygmunt II August pracował „z energią i pilnością, a zarazem i wytrwałą cierpliwością, godną najwyższego podziwu". Jeden z ówczesnych napisał bez pochlebstw:

Aleś ty, wielki królu, wtenczas o biesiady
Mało dbał, i owszemeś pilnie szukał rady,
Jakobyś przywiódł w jedność dwa wielkie narody.

Pilnował monarcha wszystkich faz burzliwych sporów Litwinów z Polakami, łagodząc je i zmniejszając napięcie polityczne. Zwłaszcza ważny był jego udział w ostatnim, czerwcowym etapie rokowań. Autorytet króla uratował rokowania od rozbicia, gdy zniecierpliwieni Polacy zażądali siłą przeforsowania unii. „Tak wielkich rzeczy, które wieki trwać mają, nie godzi się przeprowadzać siłą" — stwierdził stanowczo Zygmunt II August.

Już ówcześni zdawali sobie sprawę z tego, że gwarancją trwałości unii jest „nie list, nie pergamin, nie pieczęci, ale cnota a chuć [chęć] i miłość powinna" między obu zjednoczonymi krajami. Tak mówił na sejmie lubelskim przedstawiciel możnowładztwa litewskiego Jan Chodkiewicz. Tak też pisał czołowy polski poeta Jan Kochanowski:

Bo co waży pergamin i gęste pieczęci
Przy piśmie zawieszone, jeśli nie masz chęci?
Co tedy prawem inszy, co nas przysięgami
Wiązali, ty nas sercem zepni i myślami!
A niechaj już unijej w skrzyniach nie chowamy,
Ale ją w pewny zamek do serca podamy,
Gdzie jej ani mól ruszy, ani pleśń dosięże,
Ani wiek wszystkokrotny starością dotęże,
Ale synom od ojców przez ręce podana
Nieogarnione lata przetrwa nie stargana.

Po uroczystym zaprzysiężeniu unii w salach Zamku Lubelskiego król Zygmunt II August dosiadł konia i mimo rzęsistego deszczu udał się na czele Polaków i Litwinów do kościoła św. Stanisława oo. dominikanów. „Tam — jak zanotował świadek wydarzeń — Panu Bogu swemu, w Trójcy Jedynemu z wielkim nabożeństwem, płaczem dziękował, chwałę dawał, «Te Deum laudamus» śpiewać kazał, i sam śpiewał".

Postanowienia zaprzysiężone w Lublinie były najzupełniej zgodne z programem unii, sformułowanym już siedem lat przedtem przez szlachtę litewską, która teraz przyspieszyła jej zawarcie, naciskając na możnowładztwo Wielkiego Księstwa Litewskiego, przeciwne dalszemu zacieśnianiu związków z Polską. W 1562 r. w uchwalonej na sejmie obozowym pod Witebskiem petycji do króla Zygmunta II Augusta szlachta litewska domagała się: „Aby król JMść złożyć raczył sejm spólny z pany Polaki i unia aby była w jedności. Najwięcej dla dwóch przyczyn to jest, dla obierania jednego pana [...] i dla jednej a spólnej obrony, abyśmy spólnie sejmowali, praw i wolności z nami na równo jednakich używali".

Unia między Polską a Litwą funkcjonowała już blisko dwa stulecia — od 1385 r., formy nadane jej w Lublinie utrzymały się w mocy przez dalsze dwa wieki z okładem — do Konstytucji 3 maja 1791 r., która zniosła dualizm polsko-litewski, tworząc jednolite państwo. Sama długotrwałość zjawiska świadczy dowodnie o tym, że u jego fundamentów leżały interesy obu krajów. Unia lubelska — w przeciwieństwie do antykrzyżackich unii 1385 i 1413 r. — była antytatarska i antymoskiewska. Tak jak w 1385 i 1413 r., tak i w 1569 r. Litwa, zawierając unię, spodziewała się umocnić swe państwo przy pomocy Polski. Przez unię lubelską i zgodę z marca i czerwca 1569 r. na oderwanie od Wielkiego Księstwa Litewskiego i wcielenie do Korony Podlasia, Wołynia, Kijowszczyzny i Bracławszczyzny — Polska wciągnięta została do obrony od strony Tatarów i Moskwy ruskich nabytków Mendoga, Giedymina i Olgierda. Dzieło sejmu lubelskiego było dokonaniem ważnym, bo określiło na parę wieków dalszy rozwój Europy środkowo-wschodniej. „Nigdy w dziejach odrębne narody nie zawarły trwalszego ślubu przy mniejszym zastosowaniu nacisku" — napisano o unii lubelskiej, i chyba słusznie. Dla twórców unii 1569 r. sejm lubelski — choć trudny, pełen mozołu, przeszkód i zapór — był sejmem zrealizowanych oczekiwań. Jak to już zauważył znakomity znawca historii państwa i prawa Polski Juliusz Bardach, postanowienia sejmu lubelskiego (owoc działań szlachty dwóch państw i trzech faktycznie narodów — polskiego, litewskiego i ruskiego) utrzymały się przy życiu tak długo, jak siły społeczne, które je stworzyły, sprawowały rządy w szlacheckiej Rzeczypospolitej — do rozbiorów u schyłku XVIII stulecia.

Dzieło sejmu 1569 r. upamiętnia dziś w Lublinie pomnik Unii, usytuowany w sercu miasta, na placu Litewskim, oraz Liceum Ogólnokształcące nr 3 noszące imię „Unii Lubelskiej", a zwiedzającym Muzeum Okręgowe na Zamku przypomina owo wielkie wydarzenie eksponowany tu piękny obraz Jana Matejki „Unia lubelska", ukazujący moment zaprzysiężenia unii.

Rys. Józef Tarłowski

Muzyka młodzieżowa

Come back Nalepy

Rzeko dzieciństwa,
Opuściłem ciebie, miasto zwiodło gwarem mnie,
Zostawiłem ciebie, rzeko dawnych dni,

TYM starym bluesem z tekstem Bogdana Loebla zaczyna się płyta niezwykła. Płyta, której słucham wielokrotnie bez obawy o znudzenie się. Ale też takie wydawnictwa zdarzają się na naszym rynku fonograficznym dość rzadko, mimo wielkiej wrzawy reklamowej gwiazdorów rocka. Album ten zrealizował weteran polskiej estrady, człowiek, który, zdawałoby się, lata świetności ma dawno za sobą. Triumfy święcił z grupą Breakout. Występował wtedy w roli gitarzysty, wokalisty, kompozytora i leadera. Zyskiwał aplauz jednych i potępienie drugich fanów. Kiedy wycofał się ze sceny, nikt nie lał krokodylich łez. Stosunkowo szybko zapomniano o jego dokonaniach.

Nie wiem, czy ktoś liczył na tak efektowny powrót weterana. Ale Tadeusz Nalepa nie przepadł zupełnie. Sporadycznie pojawiał się na koncertach i imprezach bluesowych pomagał młodszym wykonawcom, zbierał siły do wielkiego „bum". Nastąpiło ono w roku ubiegłym. Dowiedzieliśmy się wtedy o istnieniu Super Grupy Nalepy z takimi perfekcjonistami instrumentów w składzie, jak Andrzej Nowak, Bogdan Kowalewski, Marek Surzyn. Z koncertu na koncert rosła sława tej kapeli, a jej leader rozkręcał się. Nie wyrywał się co prawda z solówkami, zostawiając sporo miejsca na popisy młodszym kolegom. Nie próbował uprawiać wokalnej ekwilibrystyki w typie Freddiego Mercury, a mimo to zdobywał aplauz. Sympatię słuchaczy zyskiwał spokojem, zdolnością dystansowania się do dawnych emocji, wreszcie melorecytacyjnym zaśpiewem. Przypominał stare przeboje w nowych wersjach i brzmiały one świeżo, przekonywająco. Nie czuło się w nich patyny czasu. Nalepa potrafił sobie tylko znanym sposobem nadawać dawnym kompozycjom nowego ducha, jakiego nie powstydziliby się najlepsi bluesmeni. Tym samym zjednywał sobie autorytet środowiska i sympatię krytyków. Dziś nikt nie ma cienia wątpliwości, kto przewodzi polskiej scenie bluesowej. Bez stosowania technicznych fajerwerków i szerokiej kampanii reklamowej został Nalepa zaakceptowany przez szerokie audytorium słuchaczy. Nawet tych, którzy o bluesie wiedzą niezbyt wiele, ale podobają im się kompozycje „Ostrożnie jedź" czy „Nauczyłem się niewiary".

Bardzo dobrze stało się, że pierwszą po latach milczenia nagrał Nalepa płytę koncertową. W styczności z publicznością osiągnął wspaniały efekt. Poszczególne numery z albumu „Nalepa — Live'86" brzmią świetnie. Uwidacznia się w nich doświadczenie leadera i spontaniczna wylewność młodych instrumentalistów. To niezwykłe połączenie decyduje o sile napędowej nagrań. Udały się one wybornie. Nalepa dosyć długo nie miał gitary w ręku. Na płycie tego jednak nie słychać. Gra niczym rasowy bluesman, czujący, że wreszcie jest w swoim żywiole, że może dzielić się z innymi swoją radością życia. Blues jest zwykle smutny. Blues w wydaniu Nalepy ma w wielu przypadkach optymistyczną nutę, zachęcającą nie tylko do wysłuchania aktualnych nagrań, ale sięgnięcia też do nieco starszych płyt firmowanych przez Breakout, ot choćby „Blues Breakout" czy „Na drugim brzegu tęczy".

Sporo się od czasu ich realizacji zdążyło zmienić w muzyce pop, wiele grup zakończyło swą działalność. Krążki z udziałem Nalepy dobrze wytrzymują próbę czasu, przekonują o talencie kompozytorskim ich twórcy. Autor głośnej kompozycji „Co się stało kwiatom" był pierwszym spośród rodzimych rockmanów, który serio potraktował muzykę dwunastu taktów. Zafascynowany grą Mayalla Claptona, a zwłaszcza Petera Greena, długo zgłębiał tajniki bluesa, aż osiągnął formę pozwalającą mu startować w szranki z profesjonałami. Uporem i konsekwencją działania zdołał zbudować podwaliny polskiego bluesa. Dziś w jego ślady idą inne, młode zespoły.

„Nie sądziłem, że kiedyś powrócę do czynnego muzykowania. Miałem moc wahań, ale po rozmowach z kolegami, z synem, zdecydowałem, że mogę jeszcze parę lat powalczyć" — mówi człowiek-legenda. Płyta „Nalepa — Live '86" jest pierwszą po przerwie, ale zapewne nie jedyną w nowym dorobku wytrawnego muzyka. Polecam ją fanom na dobre i złe dni. Słuchając, można się wiele nauczyć.

Istvan Grabowski

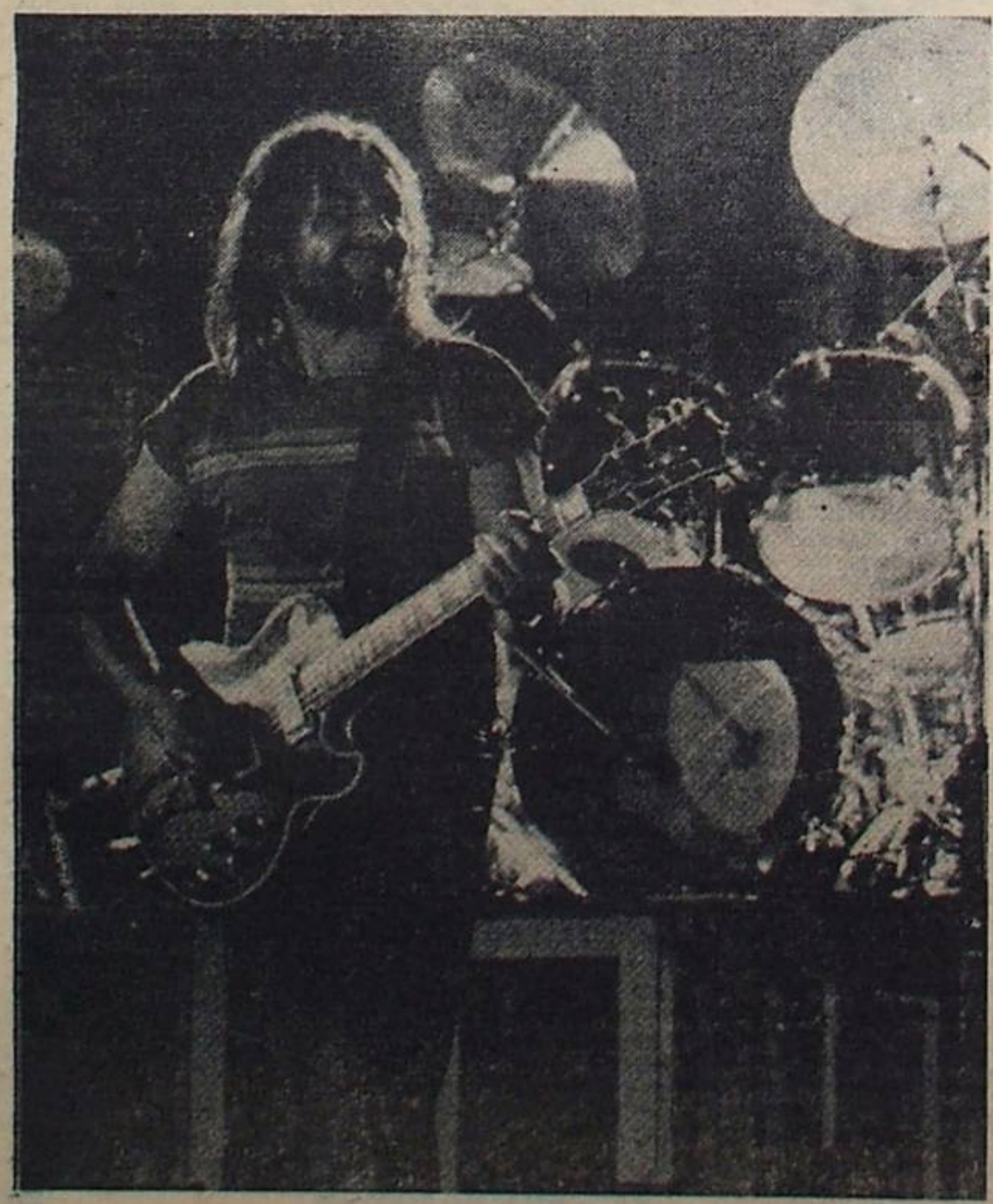

Fot. Piotr Kłosek

Ekran i widz

Koniec sezonu filmowego

SEZON filmowy, podobnie do roku szkolnego, nie pokrywa się z rokiem kalendarzowym, ale trwa od jesieni do początku lata. Dla recenzenta początek lata to czas refleksji na temat minionego sezonu, dla autora niniejszej rubryki — chwila zastanowienia się szczególnie nad kinem polskim, nad tym, co zdołał obejrzeć w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy na kinowych ekranach.

Piszę: „co zdołał", bo publicysta zajmujący się sprawami kina — jeżeli nie uczestniczył we wrześniowym gdańskim festiwalu, który prezentuje niemal pełny wachlarz polskich filmów premierowych mających wejść na ekrany w przyszłym sezonie — ma później, w ciągu roku, bardzo utrudnioną sytuację, jeśli chodzi o „schwytanie" poszczególnych filmów. Na naszych ekranach polskie filmy najczęściej chodzą „stadami" po okresach, kiedy w ogóle ich się nie uświadczy, albo — wprowadzone na ekran — znikają nagle z niego jak sen złoty, zapewne dlatego, że widzowie nie chcą ich oglądać.

Oczywiście, nie zawsze tak właśnie się dzieje i na przykład film Romana Załuskiego „Och, Karol" — gdzie kilka przystojnych i atrakcyjnie rozebranych pań nie daje w łóżku spokoju samotnemu bohaterowi, który marzył o „domowym haremie" i teraz „ma, czego chciał" — cieszył się olbrzymim powodzeniem. Ale trzeba też pamiętać, że była to w sumie płaska komedyjka zrobiona „pod publiczkę". Z kolei zapowiadanego przez „Filmowy Serwis Prasowy", jeszcze z grudnia 1985 r., filmu Janusza Zaorskiego „Jezioro Bodeńskie", według głośnej książki Stanisława Dygata, w ogóle do tej pory nie udało mi się wytropić w kinach, nie tylko lubelskich.

Olbrzymim powodzeniem cieszył się wśród dziecięcej widowni kolejny, dwuczęściowy, film Krzysztofa Gradowskiego „Podróże Pana Kleksa" — jeden z najlepszych chyba w ogóle polskich (dokładniej: jest to film polsko-radziecki) filmów minionego sezonu — ale i on chyba zbyt wcześnie został zdjęty z repertuaru lubelskich kin. Z zupełnym brakiem zainteresowania ze strony publiczności spotkały się „Dziewczęta z Nowolipek" i „Rajska

Tropy nadziei

LUBLIN — Wydział Prawa i Administracji: obradowała tu szósta sesja „Klubu Strasburskiego". Myślą przewodnią tej, zawiązanej w 1982 roku, organizacji intelektualistów pod nazwą Europejskiego Fakultetu Uprawy i Rozwoju Ziemi było hasło: „Człowiek jako miara środowiska społecznego i naturalnego".

Dyskutowano jedno z największych zagrożeń naszych czasów: postępującą degradację Ziemi. Jak uchronić ludzkość przed głodem, któremu nie jest w stanie zapobiec cywilizacja w swym technologicznym szaleństwie?

Intelektualiści z „Klubu Strasburskiego" podjęli się permanentnego przypominania społeczeństwu świata o tym, iż nie wolno przekraczać granicy, poza którą egzystencja ludzkości i istnienie planety może stanąć pod znakiem zapytania. Wysiłki naukowe „Strasburczyków" zmierzać również będą do poszukiwania i wskazywania sposobów ratunkowych i zaradczych.

* * *

Lublin — plenarne posiedzenie Komitetu Miejskiego PZPR i Miejskiego Komitetu ZSL poświęcono problemom ochrony środowiska. Wypunktowane zagrożenie: zanieczyszczenie powietrza. W ubiegłym roku na Lublin spadło średnio 127 ton pyłów na kilometr kwadratowy. Dopuszczalna norma — 250 ton na km kw. Ulicę Krochmalną „zasypało" 425 ton pyłów na kilometr kwadratowy, ulicę Szymonowicza 282 t/km kw., aleję Warszawską 261 ton. W powietrzu zanotowano wzrost stężenia dwutlenku siarki. Udział w tym „dziele" ma m.in. 341 miejskich kotłowni, FSC, Cukrownia „Lublin", Elektrociepłownie I i II, Zakłady Metalurgiczne, przedsiębiorstwa Przemysłu Chłodniczego i Ziemniaczanego, Lubelskie Zakłady Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego. Wiele zakładów, od lat zatruwających lubelskie powietrze, nie posiada urządzeń odpylających.

Hałas staje się w Lublinie dotkliwy, szczególnie w rejonie ulicy Kunickiego, placu Bychawskiego, Nowotki, Świerczewskiego, Drogi Męczenników Majdanka, Alej Racławickich, ulicy Lipowej i Lubartowskiej. Natężenie hałasu przekracza w wymienionych rejonach 10—30 decybeli.

Wspólne plenum KM PZPR i MK ZSL podjęło uchwałę, która zapowiada energiczne działania na rzecz ochrony środowiska w Lublinie.

Lublin — IX Walny Wojewódzki Zjazd Ligi Ochrony Przyrody; tematem obrad — potrzeba ściślejszej i skoordynowanej współpracy LOP ze wszystkimi zainteresowanymi i odpowiedzialnymi za ochronę środowiska jednostkami. Apel do władz miasta i województwa o większą troskę, starania i sankcje na rzecz ochrony przyrody w województwie lubelskim.

* * *

Włodawa — 5 czerwca, Światowy Dzień Ochrony Środowiska. Uroczystość i jednocześnie sfinalizowanie kilkuletnich już starań w kierunku współdziałania czterech województw mających na celu zapobieżenie postępującej degradacji Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego i zlewni Wieprza.

Przewodniczący wojewódzkich rad narodowych i wojewodowie: białskopodlaski, chełmski, lubelski i zamojski podpisali porozumienie, które zobowiązuje strony m.in. do budowy i modernizacji szeregu inwestycji hydrotechnicznych (oczyszczalni ścieków), przywrócenia drugiej klasy czystości wodom Wieprza do 1990 roku, pierwszej klasy do 2010 roku. Jeden z wygłoszonych referatów zwrócił uwagę na zaniedbany i nie wykorzystany w pełni kanał Wieprz-Krzna.

Postanowienia dotyczące zlewni rzeki Wieprz ściśle egzekwować będzie powołany do tego celu międzywojewódzki zespół koordynacyjny.

Ochrona Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, unikalnego w skali europejskiej środowiska przyrodniczego, ochrona jego dorobku kulturowego, walorów rekreacyjno-turystycznych była następnym kompleksem zagadnień, które w ramach podpisywanego we Włodawie porozumienia rozwiązywać będą odpowiedzialne za przyszłość pojezierza województwa.

Ponadto porozumienie o działalności politycznej na rzecz ochrony środowiska makroregionu środkowo-wschodniego zawarli i sygnowali przewodniczący wojewódzkich komitetów Stronnictwa Demokratycznego.

* * *

Przytoczone wydarzenia z ostatnich tylko tygodni dowodzą, iż problemy ochrony naturalnego środowiska i zasobów są dla miasta i województwa sprawą pilnej i zobowiązującej wagi. Podjęte w tych kierunkach działania stanowią nadzieję, iż to, co nas żywi, otacza, regeneruje i wzbogaca nie będzie zmarnotrawione.

(dey)

jabłoń" Barbary Sass, na których „kasowość" tak bardzo liczono. Ale trudno się publiczności dziwić: dzieło Barbary Sass ani się umywa do ostatniej telewizyjnej adaptacji książki Poli Gojawiczyńskiej, mimo że reżyserka nie żałowała na ekranie damskiej golizny oraz łóżkowych scen.

Zupełnymi niewypałami kasowymi okazało się kilka filmów w gatunku „rozliczeniowych", wracających tematyka do wczesnego okresu powojennego na ziemiach polskich, do czasów bratobójczych walk. Może dlatego, że kręcone przez reżyserów młodych, dla których prezentowane przez nich wydarzenia należą już do odległej historii, nie posiadają one autentycznego ładunku emocjonalnego, są tylko czymś w rodzaju ekranowych wojennych baśni?

Były wreszcie dramaty „sensacyjne" na tak żenująco niskim poziomie, jak „Kim jest ten człowiek?" Ewy i Czesława Petelskich, czy tak zagmatwane w swej warstwie narracyjnej, jak „Mokry szmal" Gerarda Zalewskiego. Nie ciągnęło rzesz widzów ani tajemnicze „Medium" Jacka Koprowicza ani wprowadzony ostatnio na ekrany film „wampiryczny" Grzegorza Warchoła „Lubię nietoperze".

Natomiast zaskakująco wielką popularnością cieszył się i spotkał z bardzo żywą reakcją widowni najnowszy film Radosława Piwowarskiego — „Kochankowie mojej mamy" z kapitalną rolą Krystyny Jandy jako samotnej matki, dość prostej dziewczyny, zatrącającej o półświatek, nie potrafiącej znaleźć sobie miejsca w życiu, która wychowuje nieślubnego synka; w jego postać wcielił się doskonale mały Rafał Wawrzyniak.

Dlaczego właśnie ten ostatni film, z gatunku ambitnych, nie goniący za tanią popularnością — choć niewątpliwie stawiający na szeroką widownię — spotkał się z tak gorącą życzliwością widzów, stał się tak popularny? Otóż chyba przede wszystkim dlatego, że wraz z kilkoma innymi filmami — o których zaraz — trafił na swoiste zapotrzebowanie ze strony polskiego społeczeństwa. Bo mieści się on w określonym, coraz mocniej zauważalnym nurcie polskiego kina. Ów nurt to zwrócenie uwagi reżyserów młodszego pokolenia na sprawy etyczno-moralne w wymiarze rodziny, szczególnie w odniesieniu do n i e s z c z ę ś c i a dziecka.

Na nieszczęście, na krzywdę dziecka mało u nas dotąd zwracano w kinie uwagi. W filmach o „dziecięcej" problematyce był nurt „lirycznej stylizacji", zapoczątkowany kiedyś przez Janusza Nasfetera, były filmy o dojrzewaniu, o pierwszej miłości, o zazdrości dzieci wobec starszego rodzeństwa wchodzącego w dorosłe życie, o inicjacji seksualnej itp. Ale k r z y w d a dziecka, jego n i e s z c z ę ś c i e (wątek nie koniecznie umieszczony zawsze na pierwszym planie filmu), wpisane w obraz naszej współczesnej rzeczywistości, w atmosferę atakującej nas zewsząd znieczulicy uczuciowej, obojętności, „zwisowości", niedorosłości dorosłych, zwykłej ludzkiej głupoty wreszcie — nie, takich filmów nie było.

Te sprawy można wyraźnie dojrzeć nie tylko w „Kochankach mojej mamy". Także — we wchodzących na ekrany „Wakacjach w Amsterdamie" Krzysztofa Sowińskiego (akcja dzieje się w latach 1980—1982) czy w (nieudanym skądinąd) „Sezonie na bażanty" Wiesława Saniewskiego, gdzie dziecko staje się swoistym „obiektem manipulacji" ze strony ojca. A zaznacza się też owa tematyka w „Bez końca" Krzysztofa Kieślowskiego (tam młoda i piękna matka nie mogąc znieść osamotnienia po śmierci męża oraz napięć psychicznych spowodowanych stanem wojennym, popełnia samobójstwo; nie znajduje w sobie dość siły, aby poświęcić się wychowaniu syna). Również w „Nadzorze" Wiesława Saniewskiego, filmie o zupełnie specyficznej, „więziennej" tematyce, rysuje się mocno problem krzywdy dziecka — dziewczynki zrodzonej w więzieniu przez matkę skazaną na dożywocie, dziecka stojącego na progu kalectwa z winy zaniedbującego je ojca, zainteresowanego już inną kobietą.

Pewnie, że można mówić o jakimś odbiciu „Sprawy Kramerów" Roberta Bentona w tych polskich filmach. Lecz nie jest to zwykłe „pójście za modą". Film ten mógł mieć pewne inspirujące znaczenie. Ale nie wpływał w żadnej mierze na oryginalność i świeżość spojrzenia polskich reżyserów w ich filmach.

I dlatego, oceniając miniony „polski" sezon filmowy, myślę że — mimo wielu fatalnych przykładów — trudno się zgodzić z tezą niektórych o artystycznym „zagubieniu się" naszego kina czy też masowym jego pójściu jedynie na tanie efekciarstwo i kasową łatwiznę.

M.D.

Księża chcą się żenić...

Dokończenie ze str. 12

— Trwało to pewien czas, ponieważ nic nie miałam sobie do zarzucenia. Zdawałam sobie jednak sprawę, że dłużej nie zniosę tej sytuacji, tym bardziej, że widziałam, iż Klaus zapada na zdrowiu. Wiedziałam, że kiedyś trzeba będzie podjąć decyzję.

Tę decyzję zapewne przyspieszyła choroba księdza. Oboje przenieśli się do Szlezwigu-Holsztyna, a tam Klaus Thoma zdecydował się na zrzucenie szat duchownych. Dziś pracuje jako nauczyciel w gimnazjum w Kilonii.

„Klaus Thoma — pisze autorka artykułu — nie polował na kobiety. Zaakceptował bezżenność, gdyż kochał ten zawód. Im jednak dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej odczuwał jako mankament »panowanie« nad kobietami w swym Kościele. »Kościół, w którym księża mogliby żyć wraz ze swymi żonami jako partnerami — konkluduje Thoma — byłby Kościołem i bogatszym i bardziej ludzkim«. Byłby to Kościół, który nie dopatrywałby się w każdej kobiecie Ewy jako kusicielki mężczyzny — w zgodzie z interpretacją Biblii przez mężczyzn. Byłby to Kościół, który nie dyskryminowałby życia seksualnego jako czegoś grzesznego, składając zawsze odpowiedzialność za ten grzech na kobietę. A przecież kobiety tworzą najsilniejszą podporę Kościoła, stanowią one dwie trzecie wszystkich pracowników w Kościele katolickim. Z jednej strony mamy 500 000 księży i 150 000 braci zakonnych, a z drugiej — 950 000 samych sióstr zakonnych. W Republice Federalnej Niemiec około 25 000 dziewcząt służy do mszy świętej jako ministrantki. W 1980 r. przyszła z Rzymu dyrektywa, aby nie pełniły służby bezpośrednio przy ołtarzu. Za takimi wskazówkami — to ciągle słowa autorki artykułu z tygodnika „Stern" — kryje się metoda. Wśród mężczyzn mamy do czynienia z lękiem, aby nie ulec sile oddziaływania kobiecości, nie dać się przez nią pochłonąć. Obok tego istnieje wyobrażenie księdza jako postaci kultowej, który — będąc przedstawicielem męskiego Boga — może być tylko mężczyzną i który podczas świętych czynności przy ołtarzu nie może być »skalany« przez bliskość kobiety. Jak jednak pogodzić uprzywilejowaną rolę mężczyzny w Kościele — z powołaniem się na Boga Ojca — z chrześcijańskim przekonaniem, iż każdy człowiek, a więc mężczyzna lub kobieta, są wizerunkiem Boga? Nie jest to możliwe. A sprzeczność jest tak wyraźna, że w 1981 r. biskupi [zachodnio]niemieccy w liście pasterskim dotyczącym pozycji kobiety w Kościele i społeczeństwie oświadczyli: »Jeżeli mężczyzna i kobieta przy odmienności swych cech są odbiciem Boga, wówczas Bóg jest nie tylko ojcem, ale i także matką«. Jest to zdanie rewolucyjne. Ci sami jednak biskupi, którzy zredagowali ten godny uwagi list pasterski, nadal odsuwają kobietę od urzędu kapłańskiego. Ich argument: Jezus był przecież mężczyzną. I głoszą, że przeznaczeniem kobiety, z uwagi na jej seksualizm, może być tylko macierzyństwo. Szermując obłudną pochwałą, że rodzenie i wychowanie dzieci jest najważniejszą rzeczą na świecie, kobietę w Kościele trzyma się z dala od wszystkich ważnych decyzji i urzędów..."

J.M.

Dokończenie ze str. 3

To było przyspieszenie!

Użytkownicy pawilonów hodowlanych nie zainteresowali się w porę, teraz grymaszą, że poidła nie tam, gdzie trzeba, postawione. Warszawskie polewaczki myją ulice Lublina. Moskiewskie trolejbusy rozładowują przedświąteczny tłok. Miasto gotowe do uroczystości.

22 lipca 1954 roku. Na trybunę honorową wchodzą: Bolesław Bierut, I zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR marszałek Nikołaj Bułganin, Aleksander Zawadzki, Józef Cyrankiewicz, Konstanty Rokossowski, Franciszek Jóźwiak-Witold i inni.

Hejnał z Bramy Krakowskiej. Defilada. Dostojni goście zwiedzają Centralną Wystawę Rolniczą i Stare Miasto. Lublin odznaczony Krzyżem Grunwaldu I klasy. W strugach deszczu tańczy i śpiewa na Placu Zebrań Ludowych „Mazowsze". Muzykanci wylewają wodę z basetli i skrzypiec. Nikt nie opuszcza wygodnych miejsc na zamkowych schodach.

Potem przychodzi wrzesień i centralne dożynki, którym gospodarzy Józef Cyrankiewicz. We wrześniu „Sztandar Ludu" wyłapuje pierwsze — niestety — karygodne przykłady wandalizmu na Starym Mieście. „Przegląd Kulturalny" poświęca dwie szpalty Lublinowi. Stanisław Żaryn rozprawia się tam krytycznie z jubileuszową rekonstrukcją Starego Miasta w Lublinie. Gani niektóre attyki i dachy, otynkowaną na żółto Bramę Krakowską, pewne rozwiązania architektoniczne na Zamku. Chwali natomiast ciepłą kolorystykę elewacji. Niemała w tym zasługa Jana Cybisa. Powie o nim później w swych „Notatkach" Włodzimierz Sokorski: „Impresjonizm lubi słońce, i dlatego sztuka Cybisa wytrzyma na murach niejedno 10-lecie". Poszukajmy, sprawdźmy, na ile wytrzymała lubelskie deszcze?

I tyle to okruchów z prasowych i książkowych przekazów. Ale oddajmy też głos świadkom tamtych czasów. Oto rozmowa, jaką na taśmie magnetofonowej zarejestrował w lipcu 1982 roku dyr. Mieczysław Kurzątkowski, z ówczesnym pełnomocnikiem PWRN w Lublinie do spraw obchodów 10-lecia i przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Planowania, inż. Brunonem Wilczewskim.

Wspomina w niej inż. Wilczewski o szczególnym zainteresowaniu Bolesława Bieruta wyborem miasta i miejsca centralnych uroczystości 10-lecia PKWN. Wspomina też o tragicznej w swym wyrazie ekshumacji ofiar okupacji hitlerowskiej na Zamku Lubelskim. Mówi o ogromie prac projektowych, które na gorąco spływały spod rąk architektów i natychmiast były realizowane na placach budowy. „Uważałem za swój obowiązek — dodaje inż. Wilczewski — zabiegać dla Lublina przy tej okazji o jak największe dobra. Pobudzał mnie ciągle do tego towarzysz Bierut, dając posłuch potrzebom i racjom". A mały, osobisty okruch jego wspomnień? Z uśmiechem inż. Wilczewski mówi o tym, jak z braku innego mieszkania zajmował niewykończony lokal nad Bramą Rybną, do którego musiał wchodzić po... drabinie, bowiem budowlani „zapomnieli" zrobić wejście. To nic, ważniejsze były sprawy, które wtedy zaprzątały uwagę inżyniera.

W pierwszym, lipcowym etapie budowy Podzamcza, i późniejszym ukończonym już w 1955 roku, brał udział mgr inż. Teofil Dunin-Kozicki. Do Lublina przybył ze szczecińskiej Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych, był tu pełnomocnikiem ministerstwa budownictwa, a w drugim etapie budowy „lubelskiego Mariensztatu" — jego kierownikiem. Każdy budynek, jak wspomina dzisiaj, trzeba było stawiać na osobnej, piaskowej poduszce. Teren, szczególnie po ujarzmieniu Czechówki, stał się tu podmokły, woda często zalewała piwnice, stąd ta izolacja. Do pieców natomiast — a było to i jest jedyne osiedle w Lublinie tak ogrzewane — kafle trzeba było sprowadzać z całej Polski. Do uciążliwych należał więc ciągły brak materiałów, brak terminowej dokumentacji i trudne do wykorzystania zwyczaje „przyswajania" sobie a to 300 dębowych drzwi z futrynami, a to 3,5 tony blachy cynkowej, a to stosu klamek, zawiasów, fajerek, choć był to towar dostępny w handlu. A kiedy inż. Kozicki wprowadził kontrole i odpowiednie rygory ogrodził szczelnie teren budowy, przypominające „zapominalskim" o poszanowaniu państwowego mienia, prasa wtedy — niestety — skrytykowała jego decyzje. Jedna z redaktorek porównywała nawet teren budowy do obozu na Majdanku. Ale inż. Kozicki nie ustępował, porządek musiał być. Nawet wtedy, kiedy nie zapowiedziany pojawił się na terenie budowy Bolesław Bierut. Dozorca, pomny swoich obowiązków, nie wpuścił przybysza. Na nic się zdały wyjaśnienia co do tożsamości gościa. Trzeba było czekać na przyjście kierownika budowy, inż. Kozickiego. Tymczasem Bierut uciął sobie rozmowę z dozorcą, dowiadując się o jego trudnej sytuacji mieszkaniowej. Nie namyślając się wiele, wyjął pudełko papierosów „Kazbek" i na odwrocie napisał polecenie w sprawie przydziału mieszkania dla owego subordynowanego dozorcy.

Inż. Dunin-Kozicki często zagląda na „swoje" Podzamcze, spotyka tu jeszcze srogiego w obowiązkach dozorcę i innych mieszkańców „Mariensztatu" poznają się i kłaniają sobie.

A co zachowało się z tej jubileuszowej odbudowy? Z tego lipcowego jej przyspieszenia? Jest piękny Zamek i plac. Kamienice stoją jeszcze, choć tynk sypie się z nich gęsto. Drzew na Podzamczu jakby mniej i nigdy nie powstał tu planowany park kultury i wypoczynku, jeżeli nie liczyć placyków zabaw i niewielkich skwerków, zdewastowanych dziś i nieciekawych. Jest klub MPiK przy Krakowskim Przedmieściu i Cepelia przy Wróblewskiego i ciągle modernizowana sieć handlowa od Ogrodu Saskiego po Lubartowską. Wątpliwe, czy zachowały się oryginalne wnętrza z tamtych lat, bogate w stiuki, gipsatury, boazerie i marbligty okien. A meble? Zamieniły je nowe, chybotliwe lady i stoliki.

Stare Miasto i Śródmieście znów oczekują na ożywczy impuls i... przyspieszenie.

Marta Denys

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopelowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Maćkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jesiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Ludia Wójcik. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—[illegible].
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 253-20.
Adres redakcji: 20-020 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-53, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 273-23.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1312. 1986-06-21 F-4.

Księża chcą się żenić...

ANNE Lueg licząca 32 lata jest matką dwojga dzieci — córki Mareike i syna Lukasa. Jej mąż, Heiner Lueg, był księdzem katolickim, ale przed kilkoma laty zdecydował się na zrzucenie sutanny. Nie była to decyzja łatwa dla obojga. Podstawowe pytanie brzmiało: z czego żyć po ślubie?

Anne pracowała w charakterze opiekunki młodzieżowej w Solingen. Pensję płacił jej Kościół, podobnie jak Heinerowi. Kiedy ich uczucie i nieformalny związek stał się tajemnicą Poliszynela, wezwano Anne do władz kościelnych, proponując, by sama złożyła wymówienie, ta jednak odmówiła.

— Miałam szczęście — mówi teraz. — Udało mi się podjąć pracę w moim drugim zawodzie: jestem zatrudniona w wydawnictwie.

Gorzej było z jej mężem. Wizyta w placówce pośrednictwa Federalnego Urzędu Pracy we Frankfurcie nie dała żadnych rezultatów, dopiero później znalazł posadę referenta naukowego przy CDU w Bonn.

Anne Lueg, przeglądając prasę i przysłuchując się wielu rozmowom, zorientowała się, że w RFN jej przypadek nie jest wcale odosobniony. Nie wszystkie jednak nieformalne związki między księżmi a ich oblubienicami znajdowały taki epilog. Wiele kobiet, kochających księży, którzy nie chcą zrezygnować z kapłaństwa, decyduje się (często po wspólnym postanowieniu z księdzem-partnerem) na przerwanie ciąży. Bywa też, że z biegiem lat nielegalne, utrzymywane w powszechnej tajemnicy, związki ulegają rozpadowi. Kobiety nie mają się komu zwierzyć ze swojego nieszczęścia.

Anne Lueg postanowiła działać. Na łamach pisma „Public-Forum" zamieściła ogłoszenie tej treści: „Które z kobiet, dotknięte celibatem księży, pragnęłyby wymienić poglądy i ewent. utworzyć wspólnotę interesów bądź wspólnotę solidarności? Zgłoszenia..."

— Byłam przekonana — stwierdza — że odpowiedzą na tę ofertę przede wszystkim te kobiety, które, podobnie jak ja, wyszły za mąż za księży katolickich.

Okazało się, że wśród 80 kobiet, które się zgłosiły, więcej niż połowa przyznała się, że żyje w tajemnym związku z księdzem pełniącym służbę bożą.

Ustalono odbycie wspólnego spotkania w Muenster. Przyjechały i po raz pierwszy w kręgu współtowarzyszek cierpienia odważyły się szczerze porozmawiać o swym skomplikowanym życiu.

Oddajmy głos Anne Lueg:

— Obawa przed ujawnieniem prawdy doprowadza do głęboko uwłaczających sytuacji. Większość spośród tych kobiet ma Kościół za pracodawcę. Podwójna gra, poczucie winy szarpią ich nerwy, a troska o zawodową egzystencję odbija się na ich działalności. Problemy nasilają się w zastraszający sposób, gdy dochodzi do zamierzonej lub nie zamierzonej ciąży. Jeżeli następuje publiczne ujawnienie takiego stosunku, z reguły główną winą obarcza się kobietę. Imputuje się jej, że uwiodła księdza!

Wszystko, o czym wyżej, wyczytałem na łamach zachodnioniemieckiego tygodnika „Stern" (nr 14). Autorka artykułu, też kobieta, Barbara Beuys, uważa, że pod koniec XX wieku nie ma żadnych istotnych powodów, aby ludzi, którzy nie chcą bądź nie mogą zrezygnować ze swego zawodu, zmuszać do tak potajemnych stosunków. Inicjatywa Anne Lueg może pomóc w wyjściu z tej poniżającej dwuznaczności. Faktem jest, że i mężczyźni, zobowiązani do celibatu, też występują odważniej. Ponad dwa lata temu byli księża powołali w Bad Neuheim „Stowarzyszenie księży katolickich i ich żon". Właśnie mąż Anne, Heiner Lueg, został wybrany prezesem tej organizacji. Oto jego program:

— Pragniemy, aby położono kres dyskryminacji żonatych księży i ich żon w łonie Kościoła. Chcemy pomagać, służyć radą tym księżom, którzy muszą zdjąć sutanny i dlatego stoją w obliczu poważnych problemów związanych z codzienną egzystencją. Chcemy również doprowadzić do tego, aby Kościół, tak jak każdy inny pracodawca, wywiązywał się ze swoich zobowiązań materialnych.

Klaus Thoma, który przed dwunastoma laty rozstał się z kapłaństwem i ożenił, dziś ojciec czworga dzieci o imionach Michael, Hildegard, Ruth i Nicola (na zdjęciu), przystąpił do pracy w „Stowarzyszeniu księży katolickich i ich żon", chociaż synod biskupów w Rzymie pod koniec ub.r. ponownie sprzeciwił się wszelkim żądaniom zainteresowanych kobiet i żonatych księży.

— Nie żywimy przynajmniej już złudzeń — mówi — że coś się zmieni. A przecież takie złudzenia mieliśmy...

Że były okoliczności związane z porzuceniem przez Klausa Thoma stanu kapłańskiego? Był księdzem w Andernach i konspiracyjny związek z jego przyszłą żoną, Christą, doprowadził go do głębokiego rozstroju nerwowego, przeszedł zapaść na tle zaburzeń w krążeniu.

— Niesłychanie gorzkie — stwierdza dzisiaj — było to, że nikomu nie mogłem ujawnić radości z powodu mojego uczucia i tej głębokiej wspólnoty z drugim człowiekiem. Bardzo z tego powodu cierpiałem. Nigdy nie życzyłbym podobnej sytuacji moim dzieciom. Nie mogę o tym wcale myśleć!

Do ostatniej chwili miał nadzieję, że dzięki reformom II Soboru Watykańskiego, zwołanego przez papieża Jana XXIII, zezwoli się księżom na małżeństwo i będzie mógł wraz z żoną kierować parafią. A Christa, późniejsza żona, była nauczycielką, szukającą u niego pomocy w pracy wychowawczej nad młodzieżą. Oboje podejmowali wspólne akcje, jeździli konno, razem chodzili do teatru. Przyjaźń przerodziła się w miłość i wkrótce doszli do wniosku, że tak dłużej być nie może.

Dokończenie na str. 11

Krzyżówka nr 14 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści pisarza, którego imię i nazwisko oraz tytuł powieści utworzą pierwsze litery 20 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami, a podwójne — między zdaniami.

Wyrazy pomocnicze

1. sposób produkcji do kupienia — 24. 8. 32. 16. 149. 142. 11. 38.
2. kontrola, rewizja — 2. 103. 7. 30. 65. 53. 91. 13. 95.
3. apel władcy — 23. 73. 52. 90. 120. 15. 108.
4. miejsce umowy Piłsudskiego z ziemiaństwem — 14. 18. 69. 86. 118. 64. 62. 111.
5. totalna dyktatura nacjonalistyczna — 72. 34. 78. 92. 42. 57. 17.
6. sposób wystawienia eksponatów — 3. 10. 50. 6. 54. 161. 179. 130. 94. 112.
7. w orderze od dzieci — 141. 45. 129. 150. 163. 79. 97.
8. trotuar — 160. 143. 156. 41. 171. 98. 1.
9. człowiek o nadmiernych reakcjach — 131. 153. 126. 49. 173. 117. 44. 63.
10. dwuosobowy rower — 22. 19. 144. 4. 116. 151.
11. przebywa w odosobnieniu karnie — 87. 47. 145. 127. 115. 138. 56.
12. rozstrzyganie sporów — 26. 157. 140. 160. 178. 27. 48. 109.
13. okręt wojenny — 75. 172. 134. 158. 76. 33. 121. 25. 88. 175. 61.
14. japońska dziewczyna do towarzystwa — 40. 159. 107. 119. 29. 60.
15. miasto w woj. suwalskim — 12. 59. 136.
16. rodzaj garnka — 165. 85. 152. 155. 170. 81.
17. surowiec na salceson — 70. 132. 147. 105. 51. 174. 168. 93.
18. rybackie żniwa — 28. 84. 146. 99. 148. 106.
19. z pronem do Świnoujścia — 5. 21. 135. 31. 110.
20. żywopłotowa śliwa — 9. 20. 67. 56. 113. MM.
21. zamieszkuje obory — 43. 128. 66. 35. 71.
22. mała, otoczona zewsząd wodą — 46. 58. 83. 154. 125. 39. 74.
23. robienie dziwnych sztuk — 176. 80. 167. 137. 101.
24. zespół powołany do wykonania czegoś — 96. 82. 122. 77. 177. 68. 36.
25. rysunek terenu — 139. 89. 164. 166.
26. był nad ojciec Azji — 100. 124. 37.
27. zdobił wejście do egipskiej świątyni — 114. 133. 123. 102. 162.

■	■	1	2	3	4	5	■	6	7	8	9	10	■	11	12	13	■
14	15	16	■	17	18	19	20	■	21	22	23	24	25	26	■	27	28
29	30	31	32	33	34	35	36	■	37	38	39	■	40	41	42	43	44
■	45	46	47	48	49	■	50	51	52	■	53	54	55	56	57	58	59
■	60	61	62	■	63	64	65	66	67	■	68	69	70	71	■	72	73
74	75	76	77	78	79	80	■	81	82	83	■	84	85	86	87	88	89
90	91	92	93	■	94	95	96	■	97	98	99	100	101	■	102	103	104
■	105	106	107	108	109	110	111	112	■	113	■	114	115	116	117	118	119
120	121	122	■	123	124	125	126	127	128	129	■	130	131	132	133	134	135
136	137	138	139	■	■	140	141	142	143	144	145	146	147	■	148	■	149
150	151	■	152	153	154	155	156	157	158	159	160	161	162	163	■	164	165
166	167	168	169	170	171	172	173	■	174	175	176	177	178	179	■	■	■

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12 Z SZYFREM

Poziomo: renesans, Majdanek, ojcowizna, rodzynek, Ryczywół, ikonostas, garłacz, opresja, ćwik, klej, pręt, Duma, leże, Oiza, Alba, staż, watażka, rabatka, echosonda, decydent, Kamienna, nawigator, analogia, Antygona.

Pionowo: raróg, wędka, Adria, nadir, tęcza, łątka, szyja, żądło, cudak, soki, ćma, Etna, Kawalec, rolnik, anonim, mięsak, stojak, Abelard, Mars, jeż, Akra, pieta, dozór, bliny, epoka, nawis, tango, język, kółka, Akaba.

Szyfr

Jak powiadają starożytni, kobiecie łatwiej utrzymać na języku rozżarzony węgiel niż tajemnicę.

Henryk Panas

POWRÓT Z KRAINY TZEMH.

Nagrodę wylosowała Krystyna Dubik, ul. Grunwaldzka 10 m. 1, 72-600 Świnoujście.